MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 43. WARSZAWA, 6 PAŹDZIERNIKA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

LUDZIE JEDNEGO DNIA

ODMOWNA odpowiedź, jaką prezes Klubu Narodowego, poseł prof. Rybarski, przesłał przewodniczącemu Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, posłowi Sławkowi, zapraszającemu na „naradę przedstawicieli klubów poselskich" w sprawie naprawy konstytucji, rozpoczynała się od następującego stwierdzenia:

„Klub Narodowy, wychodząc z założenia, że jednem z najważniejszych zadań obecnego Sejmu jest reforma Konstytucji, uznaje w pełni potrzebę pracy nad tem zagadnieniem i nie uzależnia swego stanowiska w tej sprawie od jakichkolwiek względów taktycznych. Uważa jednak, że pierwszym warunkiem skuteczności tej pracy jest zaniechanie metod agitacyjnych, któremi pewne czynniki posługiwały się dotychczas w tej donioslej sprawie państwowej. W szczególności nie możemy pominąć milczeniem zarzutu, zawartego w odezwie Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem z dn. 22 lutego b. r. w sprawie reformy Konstytucji, jakoby „Narodowa Demokracja chciała dojść do niepodzielnej władzy w Polsce protekcją obcych czynników".

Jest zjawiskiem niezmiernie znamiennem, iż prezydjum klubu B. B. tak dalece niezrozumiało ważności tego właśnie motywu, postawionego w odpowiedzi Klubu Narodowego na pierwszem miejscu, że w komunikacie swoim, omawiającym niepowodzenie próby posła Sławka, objaśnia: „Jako główny powód odmowy wysunięte zostały względy formalne"... „Głos Prawdy" uznał nawet za właściwe zawiadomić swoich czytelników, że „przyczyną odmowy na zaproszenie prezesa pos. Sławka" była poprostu — „*Kanapé Frage*". Tembardziej przeto rzecz cała zasługuje na omówienie ogólniejsze, bardziej zasadnicze, pozwoli ono bowiem na uwydatnienie pewnych istotnych, głęboko sięgających różnic psychologicznych, oddzielających obóz narodowy w Polsce od obozu t. zw. „sanacji".

Można mieć nie wysokie pojęcie o darze przewidywania, posiadanym przez prezesa klubu B.B. i jego współpracowników, trudno jednak zdecydować się na hypotezę, ażeby ogłaszając zarzuty, wymienione we wspomnianej odezwie z dn. 22 lutego s. b., nie dopuszczali oni wogóle możliwości nadejścia chwili, w której p. poseł Sławek będzie „miał zaszczyt" pisać do prezesa Klubu Narodowego i prosić o „łaskawą odpowiedź"... Niewątpliwie przypuszczali i tę „ewentualność", tylko nawet przez myśl im nie przemknęło, żeby zarzut dążenia „do niepodzielnej władzy... protekcją obcych czynników" mógł w czemkolwiek stanowić w przyszłości przeszkodę przy... organizowaniu wspólnych konferencyj porozumiewawczych. Ludzie żyjący z dnia na dzień, pozbawieni poczucia ciągłości historycznej, dlatego tak niewiele rachują się ze swojemi słowami i czynami, ponieważ są przeświadczeni, iż pod każdą dowolną datą można zaczynać „od nowa", jak gdyby przedtem „nic nie było". Ludzie chwili, których zwierciadłem duchowem, heroldem i Plutarchem równocześnie, jest „prasa czerwona", nie są zdolni rozumieć w życiu tragedyj, zagadnień sumienia, nieuchronnej odpowiedzialności za zbrodnie popełnione, konieczności przywrócenia naruszonej równowagi w dziedzinie ładu moralnego. Pojęcie tragedji zastąpili łatwiejszem i bardziej aktualnem pojęciem „sensacji", a ta już oczywiście, musi być raz po raz nowa, „na czasie", nakazująca zapominać o poprzedniej.

Ludziom o narodowym poglądzie na świat z tego powodu przedewszystkiem tak trudno jest odnaleźć wspólny język z ludźmi o sposobie myślenia jednodniowym, że u podstaw ideologji nacjonalistycznej tkwi poczucie Narodu, jako życia wiecznego, nieprzerwanego szeregu przeszłych i przyszłych pokoleń, w którym żaden czyn nie może być uznany za „niebyły", żaden nie pozostaje bez następstw. Zapewne, stanowisko takie uniemożliwia obozowi narodowemu układanie sprytnych kombinacyj i kompromisów pod

dogodnem bardzo, a niby pięknie brzmiącem hasłem: „Zapomnijmy o przeszłości, złączmy się do wspólnej pracy na przyszłość!“ Nie o udzielanie rozgrzeszeń jednak chodzi, ale o celowość działania, o to, że uczciwe, rzeczywiste porozumienie polegać musi nietylko na ustaleniu wspólnego programu na przyszłość, ale i na jednakowej ocenie przeszłości. Właśnie dlatego, że naród, jako fakt dziejowy istnieje już, że nie zaczyna się go dopiero tworzyć od początku, nie można brać się z powodzeniem do jakiejś dalszej budowy, jeśli się nie ma jednolitego poglądu na styl, sens, przeznaczenie budowli dotychczas wzniesionej. Nie można naprzykład prowadzić dzisiaj rozsądnie polityki zagranicznej Państwa Polskiego, której treść najważniejszą stanowić musi walka z naporem niemieckim, jeżeli się nie rozumie, iż najgroźniejszym wrogiem Polski podczas wojny światowej były Niemcy, że do odbudowania Rzplitej w dzisiejszych jej granicach doprowadzić mógł tylko program bezwzględnej walki przeciwko mocarstwom centralnym i całkowitego ich pokonania. Nie można myśleć o pogodzeniu się w sprawie nadania Państwu Polskiemu odpowiedniejszej konstytucji, nie porozumiawszy się poprzednio co do najbardziej podstawowych zasad uczciwości, praworządności, honoru i co do oceny faktów ich łamania.

Stanowisko takie obozu narodowego niejednokrotnie bywa uznawane za niewygodne, nieprzyjemne, kłopotliwe, ale też ono jedynie daje w wyniku możność stworzenia jakiegokolwiek dzieła o doniosłości historycznej. Ludzie o psychice jednodniowej, ludzie chwili, — rzecz jasna — potrafią zdobywać się na „posunięcia“ efektowne, „sensacyjne“, zaskakujące przeciwnika chociażby z tego prostego powodu, że nie można przewidzieć zgóry ich kierunku. Ale trwałych, twórczych wartości w życie narodu oni nie wniosą, nawet jeżeli będą mieli w swem ręku władzę, pozwalającą nie liczyć się z żadnemi przeszkodami.

JAN REMBIELIŃSKI

KRYTYKA CYWILIZACJI WSPÓŁCZESNEJ

(O KSIĄŻCE I. BABBITTA)

PRZEDSTAWIMY poniżej w formie systematycznej poglądy, zawarte w książce Irvinga Babbitta p. t. *„Democracy and leadership"*. Autor jej, amerykanin, znany głównie ze studjów nad filozofją wieku oświecenia we Francji, podjął w wymienionem dziele zasadniczą i bardzo głęboką, niekiedy nawet rewelacyjną, zawsze świeżą, surową krytykę współczesności. Oparcie zaś analizy krytycznej na świetnem przygotowaniu historycznem oraz wykształceniu filozoficznem sprawia, iż wśród bardzo licznych głosów oskarżających kulturę współczesną, książka Babbitta zajmuje pozycję wręcz wyjątkową, zarówno dzięki powadze i sumienności, jak też i dzięki wnioskom, do do których dochodzi.

Książka Babbitta poświęcona jest obronie moralnego przezwyciężania się i ma wykazać, iż bez niego upada życie moralne jednostek, a co za tem idzie, następuje rozkład społeczeństwa i cywilizacji. Obrona ta ma się dokonać na gruncie krytycznym i modernistycznym, t. zn. bez odwoływania się do religji lub autorytetów. Rzeczywistość sama ukaże, gdzie jest słuszność. Obrona ta ma mieć również charakter „eksperymentalny“ t. zn. autor pragnie traktować rzeczy realnie, konkretnie, umożliwiajac krytyczne sprawdzanie tez.

Konkretywizm ten wiedzie do nieufności wobec wielkich słów i idealnych obietnic. Jakaś miara prawdziwości twierdzeń musi się znaleść w teraźniejszości lub przyszłości i nie może być zawieszona do czasów przyszłych. Trzeba się odnosić nieufnie do wszelkich teoryj, które niezgodne z tem, co było i jest, zapowiadają, iż okażą się słuszne w przyszłości. Ponieważ zaś rzeczywistością najbardziej bezpośrednio nam daną jest człowiek, przeto jego życie wewnętrzne jest najlepszą instancją, oceniająca prawdy dotyczące cywilizacji. Dlatego np. podstawianie na miejsce zasad reformy człowieka projektów reformy społecznej jest ucieczką przed tą instancją w mglisty świat niesprawdzalnych bezpośrednio pomysłów. Dlatego też — sądzi Babbitt — prawdziwy rdzeń jakiejbądź doktryny ujawnia się w jakości osoby, która ją reprezentuje Siłę prawd można więc mierzyć siłą, którą okazuj w jednostce. To stanowisko Babbita wobec wartośc teorji przypomina wyraźnie Mickiewicza.

1. CZŁOWIEK

Punktem wyjścia w określeniu człowieka, jest tradycja, świadcząca o jego dążeniu ku jakimś celom oraz doświadczenie wewnętrzne; teorje ewolucjonizmu, wyprowadzające człowieka ze świata zwierząt, nie mogą dopomóc w ujęciu istoty człowieczeństwa, jako zjawiska kulturalnego: wyjaśniają to tylko, co przyrodnicze. W świetle powyższych instancyj okazuje się, iż specyficznie ludzkim w człowieku jest pewien rodzaj woli, odczuwany w stosunku do poziomych tendencyj, jako zakaz i hamulec. Istotą wewnętrznego życia jest konflikt między niższą a wyższą wolą. A to znowu wymaga przezwyciężenia różnorodności życia jednolitym miernikiem, który uzyskać można bądź dzięki pełnemu zaufania oparciu się na tradycji, bądź dzięki bacznemu krytycyzmowi. Nieosiągnięcie wszakże takich wzorów i mierników wydaje jednostkę na łup prywatnych impresyj i wiedzie w ostatecznych konsekwencjach do upadku cywilizacji. Krytyczne lub tradycjonalne zdobywanie norm wymaga przedewszystkiem wyobraźni, ona to bowiem pozwala dostrzec i pojąć trwałą jedność życia, dzięki której możemy mierzyć jego różnorodność i zmienność. Rozumiejąc więc przez wyobraźnię zdolność spostrzegania i zdolność pojmowania jedności, wysuwamy ją na miejsce naczelne w życiu człowieka. Życie wymaga koncentrowania zjawisk. Ale że zjawiska, które mamy pojąć i ogarnąć, są różnorodnych rodzajów, a siły ludzkie ograniczone, przeto płyną stąd różne niebezpieczeństwa. Jeśli zamkniemy różnorodność zjawisk w dwie wielkie grupy: przyrodniczych i humanistycznych, spostrzeżemy, iż postęp materjalny, osiągnięty nakładem wielkiej energji, zespalającej zjawiska przyrodnicze, musiał być okupiony wzrastającą obojętnością na sprawy innego królestwa — królestwa humanistycznego

(w określonem wyżej rozumieniu pojęcia człowieka, t. zn. obejmującego sprawy moralne). Innem niebezpieczeństwem jest przenoszenie praw jednej dziedziny na drugą, a w szczególności naturalistyczne traktowanie świata humanistycznego. Obejmowanie różnorodnych rodzajów rzeczywistości wymaga odrębnych aktów wyobraźni.

Brak wyobraźni, pociągający za sobą niezdolność jednoczenia różnorodności, sprowadza życie człowieka na poziom impresjonistycznego chaosu, ale z drugiej strony przyznać trzeba, iż rozwinięta wyobraźnia prowadzić może do urojeń. I dlatego, aby stwarzać mogła wartościowe realnie ujęcia, wymaga zdyscyplinowania władzą konkretnego sądzenia. Zgodnie zaś z tem, co powiedziano wyżej o dwoistości świata, zdyscyplinowanie to przeprowadzone być może w odniesieniu bądź do rzeczywistości przyrodniczej, bądź do rzeczywistości humanistycznej. Pozostawianie jednak wyobraźni bez dyscypliny i kontroli wiedzie do tem niebezpieczniejszych, bo pełnych suggestji fałszów, złudzeń i mitów, których szczególnie wiele istnieje w życiu społecznem. Jedynie wyobraźnia pobudza i zapładnia wolę.

Człowiek współczesny, zdobywający umysłem panowanie nad przyrodą, cierpi na przerost intelektualizmu: sądzi, że i w świecie humanistycznym rozum jest instancją naczelną. Tymczasem, zgodnie z podstawowym dualizmem życia moralnego — tą najwyższą instancją—jest wola. Babbitt przypomina o słowach Buddhy: „Gdy powtarzasz słowa, wydają ci się one puste i znane, lecz gdy sprobujesz według nich postępować, zobaczysz, iż znaczą one bardzo wiele". Na woli opiera się związek ludzi — a nie na rozumie. Wola zespala — rozum rozdziela. Dlatego rychło rozbiegli się uczniowie Platona, ale poprzez wieki trwają uczniowie Chrystusa i Buddhy. Racjonalizm nie może pełnić kontroli nad niższą sferą życia człowieka: świadczy o tem klęska stoicyzmu. Zwycięstwo i trwałość chrześcijaństwa tkwi psychologicznie w tem, że poniżając rozum stworzyło symbole kontrolujące wyobraźnię, a poprzez nią i wolę.

Używanie rozumu i jednoczesne ograniczanie jego przesadnych skłonności — oto najtrudniejszy problemat. Trzeba tu wyminąć i *„libido sciendi"* i intelektualną rezygnację. Pogląd Babitta na przeciętność ludzką jest wyraźnie pesymistyczny. Kto patrzy na ludzi realnie, spostrzega zrzadka tylko tych, którzy są godni szacunku. Kto zaś ufa, iż przeciętność jest dobra — dochodzi po rozczarowaniach do rozpaczy.

Człowiek pragnie przedewszystkiem dobrze myśleć o sobie. Dlatego też łatwo i chętnie przyjmuje prawdy o świecie materjalnym: oddaju mu one bowiem w ręce władzę, wzbijają w dumę, przynoszą dobrodziejstwa techniki. Natomiast niechętnie wita prawdy duchowe, gdyż zmniejszają one jego dobre o sobie mniemanie. Przeciętny człowiek chętnie słucha o komunikacji z Marsem, ale gdy mu się mówi, iż do szczęścia potrzeba pokory i panowania nad sobą, odwraca się z niechęcią.

Pozioma, naturalna jaźń człowieka okazuje żądzę wiedzy, rozkoszy i władzy. Otóż, kto burzy podstawy wewnętrznej kontroli i powściągnięć—przyczynia się do nieopanowanej ekspansji tych żądz. A tylko idea woli wyższej, opanowującej niższe tendencje, jest źródłem czci i pokory, a poddanie się jej — pokojem. Bez samokontroli wewnętrznej i związanej z tem pokory życie zbiorowe jest niemożliwe.

Liberalizm nie dostrzegł różnicy między powinnościami i pożądaniami człowieka — tymczasem słuszność ma chrystjanizm, iż człowiek winien iść według prawa ducha ale pragnie dogadzać niższym pożądaniom.

Realistyczne spojrzenie na człowieka poucza, iż trafia się doń najłatwiej z pomocą argumentów, że coś sprzyja jego szczęściu, a nie wprost szczęściu innych. Ale używając tej, jedynie rozsądnej drogi, określać trzeba szczęście nie utylitarystycznie w pojęciach przyjemności—ale jak to czyni Arystotes i Buddha — w pojęciach działalności. Idealiści łudzą się, iż człowiek będzie kierował sobą według zasad korzyści ludzkości czy państwa: Jako przykład służy agitacja w kwestji eugeniki płciowej lub wyrzekania się potomstwa, która mimo argumentów powyższego rodzaju nie przynosi wyników. Ognisko rozstrzygnięć tkwi w życiu wewnętrznem człowieka, i aby jego wola wyższa zwyciężyła *libido sentiendi*, trzeba jej dać, poprzez wyobraźnię, jakieś idee, których realizacja przynosiłaby szczęście (w powyższem rozumieniu) przedewszystkiem człowiekowi samemu — a nie społeczeństwu. W żaden sposób przywiązanie do społeczeństwa nie zastąpi wewnętrznego oddania się ducha — ideałem wyższym. W tej prawdzie leży wyjaśnienie słabości wszelkiej „służby społecznej" (*service*). Tę realistyczną psychologję człowieka rozumiał głęboko chrystjanizm, każąc dbać przedewszystkiem o duszę własną. Z tej dbałości dopiero płynęło dobro i dla bliźnich.

Z pośród ogółu ludzkiego tylko nieliczni ludzie zdolni są do wytwarzania w sobie realnych i owocnych wskazań i idej i narzucania ich własnym przykładem innym. Ogół żywi wyobraźnię swą wpatrzeniem się w takich przewodników i tylko poprzez nich dostrzega wyższe zadania, które winien spełniać. Stąd doniosła rola wodzów dla cywilizacji. Ze stanowiska Babbitta społeczeństwo przedstawia się więc w sposób następujący: część ludzi pozostaje na poziomie naturalnych tendencyj, część wznosi się do uznania podstawowych zasad etycznej samo-kontroli, i wreszcie niewielka mniejszość, jak uczy historja, osiąga wyższy poziom posiadania i reprezentowania ideałów. Ta mniejszość — dysponowana jest na kierowników. Poprzez nich przechodzą do wyobraźni i woli tłumu idee, dyscyplinujące wewnętrznie człowieka. Ale też i poprzez nich spływać może zło i zepsucie. W nich tkwi ostatecznie—przyszłość.

2. TRZY RODZAJE POGLĄDU NA ŚWIAT

Trzy są możliwe poglądy na świat, a co za tem idzie trojaki sposób urządzenia życia: religijny, humanistyczny i naturalistyczny. Zasady religijne wiążą człowieka i Boga, wymagając od ludzi pokory oraz trudu moralnego. Humanizmem zaś nazywa Babbitt, uznawanie dwoistości natury ludzkiej i rozumienia życia wewnętrznego jako walki wyższej woli z niższą w człowieku, oraz obronę tych tez krytyczną.

Humanizm musi, podobnie jak religja, uznać w jakibądź sposób życie wewnętrzne t. zn. przeciwieństwo między wyższem prawem ducha i niższym poziomem osobowości. Musi podobnie jak religja, podporządkować intelekt woli etycznej i dzięki temu główny nacisk położyć na pokorę. Humanizm nie jest ascezą, jak często religja, i nie pragnie zniszczyć wszelkich tendencyj niższego ja, chce je tylko utrzymywać w mierze opanowania.

Takiemu stanowisku przeciwstawia się naturalizm, nazywany też często humanitaryzmem.

Naturalizm przestaje traktować człowieka jako rzeczywistość, posiadającą prawo swoiste i odmienne od dziedziny materji, prawo, którego uznanie w dziedzinie religijnej, jak świadczy Chrystjanizm i Buddhyzm,

prowadzi do uznania cudów, płynących z zaświatów, i którego uznanie w dziedzinie świeckiej — jak widać z pism Arystotelesa i Konfucjusza — wymaga podporządkowania poziomej natury człowieka i jego impulsów czemuś, co w nim samym jest wyższe.

Humanitaryści nie uznają podstawowego dualizmu natury ludzkiej oraz obowiązku i możności przezwyciężania wolą wyższą tendencyj niższych i głoszą naturalną dobroć człowieka oraz wyznają determinizm. Na tych podstawach pragną często osiągnąć to, co dawniej było osiągane na gruncie humanistycznym lub religijnym. Humanitaryzm zatraca więc rozumienie życia wewnętrznego, którego istotą jest walka i przezwyciężenie, głosząc swobodę naturalnego wyżywania się. Interesuje humanitarystę przedewszystkiem ludzkość, dobrobyt ogólny, postęp, a nie jednostka i jej wewnętrzne życie. A to przeciwieństwo między tymi, co nacisk główny kładą na życiu wewnętrznem jednostek i tymi, którzy roztrzygającą o życiu instancję widzą w organizacji społecznej, jest zasadniczem przeciwieństwem podstawowych założeń.

Prąd humanitaryzmu rozwijał się w dwóch łożyskach: racjonalistyczno-utylitarnem i emocjonalno-sentymentalnem. Nazwiska Macchiavellego i Bacona, oraz Shaftesburego i Rousseau'a podkreślają tę dwoistość. Wspólną cechą obu kierunków było wszakże zatracenia rozumienia życia wewnętrznego, jako walki i przezwyciężenia.

Niemożliwe do pogodzenia przeciwieństwo stanowisk: humanitaryzmu i humanizmu okazuje się wyraźnie już w samej metodzie analizy zagadnień cywilizacji. Humanista ujmuje sprawy społeczne ze stanowiska walczącej o poziom moralny jednostki i w owocności tej walki widzi podstawę polityki społecznej. Humanitarysta natomiast, wierny swym zasadom, dotyczącym życia wewnętrznego, przesuwa walkę zła i dobra z duszy jednostki w świat społeczny i tam poszukuje rozwiązań.

3. ROZWÓJ DZIEJOWY CYWILIZACJI EUROPEJSKIEJ

W dziejach Europy, od renesansu począwszy, toczy sie walka między owym humanitaryzmem a stanowiskiem religijnem lub humanistycznem.

Reformacja, zrywając z Kościołem i jego tradycyjnemi symbolami, dzięki którym prawdy o pokorze i woli wyższej poddawane były wyobraźni — popadała powoli bądź w coraz większy racjonalizm, bądź w indywidualistyczny impresjonizm. Europa, wyzwalając się z więzów Kościoła i teologicznych dogmatów, wyzbyła się też i wewnętrznego życia t. zn. prawdy, iż człowiek potrzebuje w czci i pokorze odczuwać tę wyższą wolę w sobie, dzięki której opanowuje swą poziomą istotę (zawierającą i intelekt) i jej żądze wiedzy, rozkoszy i panowania.

W XVIII wieku został już ostatecznie przezwyciężony dawny dualizm w pojmowaniu człowieka, upatrujący w ludziach dobre i złe skłonności. Zwyciężyła nowa etyka, uzasadniana racjonalnie lub sentymentalnie: etyka Shaftesburego i Mandeville'a. Jednocześnie zaś dokonało się przejście od praw boskich do praw człowieka i od zwierzchności Boga do suwerenności ludu.

Wówczas to, zapominając o dawnym dualizmie człowieka, zapomniano o obowiązku przetwarzania się i podnoszenia, o owocach ducha, któremi są, w myśl słów św. Pawła, miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wiara, łagodność i samo-kontrola. Społeczeństwo i postęp materjalny zajęły miejsce troski o życie wewnętrzne. Świat przechylił się do tezy Bacona, iż wiedza — to potęga, porzucając pragnienie Sokratesa, by wiedza była cnotą. Wyswobodzony z dogmatów człowiek począł spoglądać na życie jako na zagadnienie poznawcze — a nie moralne. Moralność, t. zn. wewnętrzna kontrola pozostawiona została religji, a ponieważ rozum zajęty przyrodą, nie wyrobił jej innych podstaw — gasła wraz z wygasaniem życia religijnego. Tymczasem tak, jak na drodze krytycznej opanował człowiek porządek natury — musi i może w ten sam sposób opanować porządek humanitarny. Potężna więc przepaść rozdziela ludzi nowożytnych, wierzących w pryzmat rozumu i ludzi średniowiecznych, tych opartych na doktrynie łaski, kładących nacisk na wolę. Doktryna ta podtrzymywała cały gmach średniowiecza. Upadek jej sprawił, iż do dziś nie wiemy, czy i jak cywilizacja zachodnia zdoła go przeżyć. Problemem staje się nie to, jak jednostka może być oparta na sobie, lecz to— jak, będąc samodzielną, potrafi być pokorną i panującą nad sobą.

Sprawy te zyskują wciąż na wyrazistości, bo choć podkopanie tradycyjnych norm przez humanitaryzm dokonało się już dawno, to jednak ponieważ w życiu zbiorowem nie odrazu upadek uzasadnień pociąga za sobą wygasanie wyników — przeto resztki samo-kontroli wewnętrznej i pokory istnieją wciąż jeszcze w cywilizacji europejskiej. Nie trzeba się jednak łudzić: to tylko tradycja gasnąca—a nie nowe, przez humanitaryzm tworzone, życie.

(Dok. nast.) BOGDAN SUCHODOLSKI

GARŚĆ UWAG BŁAHYCH O RZECZACH WIECZNYCH

CODZIENNA rzeczywistość jest w naszej Polsce przygniatająca ciężarem zdawkowych zagadnień, domagających się natychmiastowego podjęcia i przeliczenia: nie mamy jakgdyby rezerw energji i nagromadonego cieplika. Dzień dzisiejszy należy nam każdej chwili przetwarzać w jutro, pod grozą tego, że się to jutro zmarnuje. Jesteśmy wszyscy w położeniu redaktora, odpowiedzialnego za pismo, który w parę godzin przed drukiem nie posiada jeszcze swego materjału. Ale „pismo wyjść musi!“ Pismem dla nas wszystkich jest nasze polskie jutro.

Jest w tem piękno wytężenia energji, jest też i duże niebezpieczeństwo wyolbrzymienia tego jutra, które zasłania odleglejsze perspektywy i nie pozwala nam sięgać bardzo daleko, ku nieskończonym i wiecznym widnokręgom. Należy bodaj do odpowiedzialnośc sumienia narodowego, by trosce o dziś i jutro nie dać się wgryść w ten krąg myślenia, który w każdym człowieku prawdziwym winien być i zostać nienaruszenie bezinteresownym.

Rzecz warta paru słów. Nie idzie tu o bezinteresowność wobec korzyści materjalnej, wygody własnej i przyjemności. Idzie o bezinteresowność wobec kieratu codziennego obowiązku. Zagadnienie trudne, bo niebezpieczne, niebezpieczne, bo obfitujące w możliwości nieporozumień. Sięgamy hierarchji obowiązków, które, one też, nie cieszą się radykalną równością. Między niemi też panuje harmonja lub dysharmonja. Obowiązki zaś odznaczają się tem, że są może trudniejsze do uzgodnienia, niż cokolwiek na świecie.

Tok codziennego życia w chwilach trudnych przemienia się w nurt spieniony rwącego i hałaśliwego potoku, albo — i to gorsze — rozlewa się w szeroką i płytką taflę namulonego trzęsawiska. Żadnemu z ludzi, żyjących na tem bagnie czy w tej fali nie wolno wytworzyć sobie *alibi* i wznieść się *au dessus de la mêlée*. Ale też bodaj i nikomu nie wolno zanurzyć się tak po szyję w troskę dnia bieżącego, by mu brakło tchu do zaczerpnięcia powietrza idącego skądinąd, z daleka, od rzeczy wiecznych.

Każdy pracownik wyjdzie, sądzimy, bardzo dobrze w samej intensywności swego działania narodowego, jeśli zachowa w swoim dniu i tygodniu pewne oazy niezakratkowane nie tylko dla spania, ale i dla bezinteresownego myślenia i kontemplacji tego, co mu piękno życia nasyła pod wzrok i słuch.

Pamiętam, przed wojną, za lat ucisku, moje przerażenie lat młodych, gdy mi ktoś bardzo szanowny orzekł: „dla Warszawy każdy teatr czy filharmonja jest zbytkiem, nie mamy dość szpitali...“ Miałem wrażenie, że moje lat dwadzieścia dostały wtedy obuchem w serce. Po namyśle, doszedłem wtedy do przekonania, że niewolno w trosce o chorych zapominać o zdrowych. Trzeba mieć dużo współczucia także i dla ludzi „szczęśliwych“: w gruncie rzeczy są i oni nędzarzami, bo mają swoje niezaspokojone potrzeby, które często należą do najszczytniejszych potrzeb ludzkości. Powołajmy się na słowa człowieka, który rozumiał się na obowiązku, Bossueta: „*je ne suis pas encore assez habile pour trouver que j'ai tout le nécessaire si je n'avais que le nécessaire, et je perdrais plus de la moitié de mon esprit*...“

Tak, nie samym tylko chlebem człowiek żyje, ale też i wiecznem Słowem. A to Słowo wieczne jest wymagające, bo żąda od nas i czasu i wewnętrznej ciszy.

Ten przydługi wstęp chciałbym teraz obrócić na pochwałę Zygmunta L. Zaleskiego. Kto zna jego narodowo-kulturalną działalność w Paryżu, jako delegata polskiego Ministerstwa Oświecenia, jako wykładającego w *Institut Slave*, korespondenta pism polskich, niezmordowanego opiekuna młodych i zawsze czujnego, wszędzie obecnego przedstawiciela naszych interesów, tam gdzie *prestige*'owi kulturalnemu grozi jakieś niebezpieczeństwo—ten wie, jak wygląda każde „codzień“ paryskie naszego autora. Że go, w takim kieracie zajęć, stać było i jest na myślenie o rzeczach dla poniektórych błahych, a dla innych wiecznych, to, zaiste, warte jest zauważenia i podkreślenia.

Cztery djalogi [1]) Zaleskiego składają się na całość wybitnie symfoniczną. Rzecz pierwsza o Sławie, to niby *Allegro* pierwszej części klasycznej symfonji, Miłość Paralelna, to wybitne *andante*, jeśli nie *adagio*, Pochwała Dyplomacji, to oczywiste *scherzo*, zaś *Finale* O Rozkoszy Słuchania Rozkazu jest energiczną pochwałą Rytmu, która zawiera w sobie niby *katarsis* i zostawia nas pokrzepionych — w oczekiwaniu przyszłego dzieła autora.

Owe cztery punkty symfonji Zaleskiego mają formę djalogu. Forma, wiadomo, dostojna w swej tradycji, u nas, dziś, trochę zaniedbana. Djalog Zaleskiego, przytrudny nieraz, czerpie swój czar w swej pewnej ezoteryczności. Rozmawiają u niego zazwyczaj przyjaciele, którzy wszelkie zbyt konwenansowe i z konieczności banalne człony rozmowy przesuwają w milczenie, wiedząc dobrze, że je przebywają razem, stając wspólnie i o jednym czasie u mety, od której zaczyna się znów głośne formułowanie myśli. Wiadomo, że tak zawsze bywa u osób dobrze z sobą zżytych: na tem wszakże polega wartość i cena przyjaźni. Tu jednak przybywa osoba trzecia, czytelnik. Otóż ten, z kolei, musi się w rozmowę wczuć, by za nią nadążyć. Nadążywszy, będzie autorowi wdzięczny za jego skróty, domyślniki, niespodzianki myślowe. Wszak zwykłą rafą, o którą zbyt często rozbija się forma literackiego djalogu, jest jego zbytnia łatwość, uniemożliwiająca drugie czytanie. U Zaleskiego, wręcz przeciwnie, utrudnione jest bodaj czytanie pierwsze...

Pierwszy djalog o Sławie zajmuje się dylematem wiecznie aktualnym niechęci i miłości do sławy. *Alter ego* Zaleskiego, jakim wydaje się być nie tyle Zygmunt, co Mar w djalogu, nie ma dość słów ironji dla taniej sławy. Tandeta sięga tu nawet poza grób: „gaszenie świec nieustanne po nigdy nie kończącym się pogrzebie“. Nie zazdrości Homerowi sławy, raczej ślepoty, bo „nie widział, zwłaszcza, siebie, odbitego w kałuży tłumnego podziwu“, komentatorów, uczniaków i belfrów. Zapewne, w ogromnym procencie, sława, także i pośmiertna, kończy się na tem. Ale obaj interlokutorzy, i Mar i Zygmunt, godzą się w określeniu innej sławy, w wydobyciu prawdziwego jądra tego słońca. Jest to zaledwo sława, jest to już tylko, jest to aż moc twórcza, potęga urabiająca przyszłe pokolenia. Albo to, albo nic! Tem „niczem“ jest wszakże głęboki swoją wartością anonimat gotyckiego rzeźbiarza, świadomego, i dlatego skromnego współtwórcy gotyckiego tumu. „Prawdziwa wartość i dostojeństwo człowieka leży w kochaniu swego dzieła, swej twórczości—bez oglądania się na szarpotanie szpaków i szczebiot makolągw... Jest prawdziwą perwersją, nie kochając życia, mozolić się dla sławy pośmiertnej... Czy nie mądrzej tedy i szlachetniej rzucić w twarz tej pokusie:— Pełnię sprawę moją wielką czy małą, buduję wieżę strzelistą, czy przesiewam piasek na cegłę do fundamentów świątyni!... Co mi tam!... Ja kocham całą świątynię! Kocham swoje piasku przesiewanie“.

Antagonista Mara, Zygmunt uzupełnia tę piękną dygresję o zlekceważonej sławie, bardzo ważnym względem społecznym. Oto sława jest nieodzowną formą symbiozy między „wielkim“ człowiekiem a społecznością, do której przynależy. W tem rozumieniu rzeczy, należy społeczność ludzką uczyć dobrego wyboru, zaś pacjent niechby na chwilę odłożył swoje „*odi profanum vulgus*“ i łaskawie użyczył się barbarzyńcom... Ale to są już inne problematy.

Adagio o „miłości paralelnej“ to sympozjon naszego autora. Pośpieszmy dodać, że „paralelna“ figuruje tu na znak domieszki pewnego „*trobar cluz*“ [2]), pewnej dozy ezoteryzmu, ot, aby było trudniej zgadnąć. W rzeczywistości djalog ten jest bardzo dla czytelnika łaskawy i opowiada mu szereg bajeczek o miłości i to pierwszej. Opowiada zresztą niezmiernie ładnie.

Ale w tym wypadku są i preliminarja ciekawe. Już to tak bywa, że eligijne wspominki owijają się jak bluszcz o kolumny otaczających przedmiotów, nadając im mgliste kontury wzruszonego piękna. *Sunt lacrimae rerum*. Tak i tu. Że jednak rzeczywistość ta była groźną, bo wojenną, efekt jest tem piękniejszy i może muza zamilczeć *inter arma*, ale nie *amor*, i nie myśl o miłości.

...Było to w lutym 1918 roku, pamiętacie? w noc gotajską (chodzi tu o almanach, ale martyrologji wojennej, związanej z bombardowaniem Paryża przez sa-

[1]) „O rzeczach błahych i wiecznych“ z drzeworytami Konstantego Brandla, Paryż, Polskie Towarzystwo Przyjaciół Książki, 1929.

[2]) Termin oznaczający w języku staroprowansalskim styl zagadkowy i niezrozumiały. Termin ten nie zawiera przygany.

molоty niemieckie „*gothas*“). Michał Warszycki wychodzi w noc ciemną z *metra* przy St. Paul. „Wysokie czuby domów, wyrosłe z mroku, wgrążały się w perłową świetlistość nocy księżycowej. Na moście było migotliwie i srebrno. Płowość rzeki roztopiła się w mgławej dali powietrza. Wtem — dźwięk daleki, matowy, pusty... Jak gdyby ktoś uderzył w wielki gong zapomniany w głuszy leśnej i mchami obrosły... Uderzenie jedno, drugie... a za każdym razem plama świetlista na horyzoncie, jak otwarcie przelotne powiek jasności... Potem suchy szczęk i grzechotanie szybkie, urywane, zajadłe“.

Wśród takich to ciemnych jasności i grzmotliwego milczenia, po zupełnie mrocznych ulicach, suną chyłkiem cienie szukające schronienia i im niżej, tem lepiej, byle nie na poddaszu. Gromadka Polaków chroni się do mieszkanka Warszyckiego, gdzie przeczekają burzę—mówiąc o miłości. Mamy tu więc coś pośredniego między Sympozjonem a Dekameronem, może lepiej Heptameronem królowej Małgorzaty. Nie dżuma tu, ani powódź jest *causa instrumentalis*, ale groza ataku gotajskiego; nastrój będzie tu też inny, nie bokacjuszowy, ale leciutko platoński, tak — jakby się tu wyrazić? tak, jakby osoby platońskiego djalogu przeniosły się myślą i stylem ku niziutkim, uroczym dworkom nadwiślańskim czy nadbużańskim...

Osoby djalogu? Michał Warszycki, gospodarz, Rena i Ludwik, małżonkowie młodzi, Władysław Trębski. Reny określać nie trzeba: Iłłakowiczówna nauczyła nas odcyfrowywać samym imionowe hieroglify. Ludwik jest mężem Reny — to wystarczy. Natomiast Trębski i Warszycki dopełniają się jak Zygmunt z Marem w djalogu o Sławie. Trębski z filozofją, literaturą, zadumą i sentymentalizmem wsłuchanym w siebie nie chce mieć nic wspólnego, przechodzi mimo nich i nie ma na nie czasu. Przez życie kroczy dziarsko i pogodnie. Człowiek czynu szybkiego, do którego potrzebny mu jest optymizm, nie naraża go na niebezpieczeństwa związane z kunsztownem filtrowaniem pogody ze smętku i nadziei z tęskoty. Ale zważmy dobrze: Trębski tak lubi słuchać cudzych dywagacyj o miłości, że mu widocznie poezja ta jest składową częścią jego optymizmu. Dodając przytem tę nieocenioną szczyptę humoru, który nie jest ironją, dodaje tem samem i ów wymiar trzeci, potrzebny do uwypuklenia życia w djalogu. Równoległe typy do Trębskiego odnaleźlibyśmy łatwo w djalogach renesansowych (Pan Derśniak albo Bojanowski w „Dworzaninie“ Górnickiego).

Warszyckiego rezerwujemy do jego końcowego wybuchu. Cały rysunek djalogu do tego końca zmierza, on to nadaje mu i ciężar właściwy i ostrze. Miłość jako siła gatunkowa i społeczna? Zapewne i oczywiste. Ale to zbyt jasne już dla nas, i zdawkowe, i oklepane, i niecierpliwiące. Dla Ludwika Randy to jest najważniejsze: „W gruncie rzeczy chodzi tu zawsze o jedno—o wyrównanie sprzeczności, o wygładzenie przeciwieństw. Typy ludzkie, rzucone w kierunku własnego rozpędu, czy własnego ciążenia, spotworniałyby rychło i zginęły. Miłość niweluje cechy zbyt wybujałe, ściera kanty“. Randa widocznie wszystko na świecie rozumie, nie zna tajemnic, nie widzi ich przed sobą.

Ale wtedy Warszycki wybucha: „Miłość i Śmierć—te dwie chytre „życia korektorki“... Jedna kompiluje coraz to nowe kształty ułomne i niedoskonale, druga zaś spędza je sromotnie ze sceny...“ Jemu to nie wystarcza: „z buntu przeciw władzy gatunku wyrasta miłość, unieśmiertelniająca harmonję i rytm człowieka — niepowtarzalny rytm... Z buntu przeciw egoizmowi gatunku wyrasta właśnie ten osobliwy gatunek uczucia, którybym nazwał „miłością paralelną“ ,bowiem równoległość dróg życia i rozrostu, doskonałe podobieństwo dusz, p a r a l e l i z m s i o s t r z a n y, stanowi jego najgłębszą istotę. Jedna to z form, jedna z dwóch form walki nieugiętej ze Śmiercią: Miłość i Sztuka! ...Obie chcą wydrzeć tamtej władzę bezcenną nad życiem: doskonałość i prawo nieśmiertelności. Dotąd bowiem tylko Śmierć jest doskonała i wieczna!“

Na pociechę tych z naszych czytelników, którzyby byli innego zdania, zaznaczamy, że i pani Rena do nich należy, ona, która orzekła: „Miłość to jest miłość— i basta!“ Oto co kryło się za tym sfinksem imienia Reny...

Tematem *scherza* o dyplomacji jest teza, że dyplomacja polska jest najlepszą na świecie. Po szczegóły odsyłamy do tekstu. Przybywa dziś doń nieoczekiwanie epilog w formie wybitnej roli, odegranej przez naszych dyplomatów w Hadze.

Natomiast finał o rozkoszy słuchania rozkazu dotyczy zagadnień ponad wszelki wyraz istotnych.

Djalog toczy się tu między Faustynem a Jarosławem, wyraźnie przez autora skazanym na niezawodną przegraną. Faustyn jest rzecznikiem piękna rozkazu i posłuchu, Jarosław pławi się w wolności „ucieczki w wiekuiste nieposłuszeństwo przygody wewnętrznej“.

Wypełnić otrzymany rozkaz? Wszak to „dać pełnię, mówi Faustyn, myśli w rozkazie zawartej: znaczy nieraz — napełnić treścią duszy własnej pustą torbę wyższego pochodzenia“.

Na temat tego antytetycznego stanowiska djalog toczy się wartko, nieledwo w postaci jakiejś stychomytji klasycznej: „Rozkaz niszczy strukturę jednostki i władztwo jej rozprzęga.—Rozkaz wyzwala!—Rozkaz łamie!—Rozkaz buduje!“

Pogłębia się ta antyteza, gdy sięga problematu inicjatywy jednostki i zagadnienia natury bohaterstwa.

Polska zginęła z powodu nieokiełznanego przywiązania do wolności? „Prawdalito! woła Jarosław. Nie przez miłość wolności, lecz przez ubóstwo bohaterstwa. Wszyscy czekali, aż przyjdzie skądś rozkaz-mus, aż ręka czyjaś chwyci nas przemożnie za kark, wciągnie w tryby walki żelazne... Nikt nie szedł p r z e d rozkazem“. Ba! ale dla Faustyna, oglądanie się wieczne na bohatera jest tylko „uwalnianiem stada od spełnienia gromadnego obowiązku“. W tem rozumieniu, bohater demoralizuje grupę społeczną...

Nasi dwaj przyjaciele toną widocznie w morzu nieporozumień. Powiększa je widok Niemców i Rosjan, z których każdy na swój sposób wyrósł na ślepym posłuchu.

Ależ bo też posłuch posłuchowi nie równy. Psychologja posłuszeństwa jest psychologją narodów. U Niemców! „Wielkość ze sprzężajnej niewoli stada wyrosła!“ Rosjanin? „Ten słucha nie po ludzku—ślepo i bezradośnie. ...Rwać pęta i wiązać je sobie naprzemiany—to jego święte przeznaczenie“.

Francuz? Otóż to. Dla niego rozkaz jest u ś w i a d o m i e n e m s o b i e r y t m u. Umie on słuchać świadomie i radośnie, bo czuje się cząstką całości, i wypełnia sobą drgnienie rytmu powszechnego, za które czuje się odpowiedzialny. Nic w tym posłuchu niema ślepego: jest on każdorazową ofiarą składaną świadomie, radośnie ze swej wolności, w niczem nieuszczuplonej.

Takie piękno rozkazu warunkuje nieprzeparcie i gatunkowość szlachetną wodza. Kto na taki posłuch trafia, czuje ogrom odpowiedzialności za wydawany rozkaz: „Wódz urasta z hierarchji posłuchu i z włas-

nego, narodowego stylu słuchania... Karność w szeregu nie oznacza radosnej woli słuchania wwyż". Rytm posłuchu, jako owoc zbawczej, wiekowej kultury narodowej, stwarza i typ rozkazu wysokiej próby, który staje się „najwyższą ze sztuk, najgorętszą, najtragiczniejszą, najwznioślejszą".

Przyłóżmy na tę abstrakcję pieczęć konkretu historji: „Gdym pod koniec wielkiej wojny pytał jednego z oficerów francuskich o jego myśli i uczucia w czasie odwrotu między Charleroi a Marną—odrzekł bez namysłu: „Straciliśmy wiarę w zwycięstwo—zachowaliśmy wiarę w wodzów".

Umiejmyż z naszego polskiego tysiąclecia wykuć polski typ posłuchu i rozkazu. I niechaj nic wschodniego w nim nie będzie.

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

WYSPIAŃSKI A WAGNER

Konrad: „A z tego nareszcie widzisz, żem artysta".
(„Wyzwolenie")

MIARĄ uznania dla twórczości literackiej St. Wyspiańskiego były dotychczas przeważnie motywy narodowo-społeczne. Pod ich dominującym wpływem, po względnie niedługim okresie wahań i zastrzeżeń, nastąpiła klasyfikacja postawy poetyckiej autora „Wesela" i — zgodnie z tradycją — wyznaczenie mu stanowiska w literaturze. Jeszcze za życia wszedł do panteonu poezji narodowej; gdy zmarł, potężne dźwięki „Zygmunta" obwieszczały *urbi et... patriae*, że schodzi do grobu jedyny godny następca trzech wieszczów.

Nie mam zamiaru poddawać rewizji tak upowszechnionego sądu — nie miejsce i może, nie pora na to. Jest jednak sprawa zupełnie dojrzała, która domaga się o wiele żywszego, niż dotychczas, zainteresowania, a jest nią zagadnienie sztuki Wyspiańskiego.

Nimb poety n a r o d o w e g o zaćmił wielkiego artystę. W gorącej atmosferze dyskusji nieomal politycznej, która, jakby wzburzona fala po przejściu okrętu, ogarniała umysły i serca po „Weselu" i „Wyzwoleniu"— zbyt mało zwracało się uwagi, że targnął duszami nie polityk, nie statysta, lecz wybraniec muz. Wyspiański poeta, malarz, rozkochany w rzeźbie greckiej i architekturze średniowiecza, entuzjasta teatru i muzyki, był przedewszystkiem artystą, co zawsze z naciskiem podkreślał. Może mają rację ci, którzy widzą w nim jedyną w Polsce indywidualność artystyczną na miarę epoki włoskiego odrodzenia. Poezja dopełniała mu malarstwo, malarstwo dopełniało poezję, do tej kooperacji zgłaszały się wizje i nastroje: rzeźby, architektury, muzyki. Syntezą sztuk był dlań teatr.

Czy tak dobrany zespół piękna nie miałby prawa rywalizować z ideologją narodową pogromcy wawelskiego Genjusza, czy dzisiaj w społeczeństwie wolnem, w Polsce niepodległej, nie pora na wysunięcie wartości artystycznych na plan pierwszy? Jeżeli pragniemy dać poznać naszą kulturę cudzoziemcom, te pewne utwory Wyspiańskiego, dzięki tym właśnie wartościom, będą dla nich bardziej pociągające i przystępniejsze od wielu arcydzieł naszej poezji romantycznej. Lecz chodzi przedewszystkiem o nas samych. Punkt ciężkości zainteresowań powinien się przesunąć z zaklętego koła weselników bronowickich i tragicznej walki o wyzwolenie duszy polskiej ku bardziej pozytywnym, uniwersalnym zagadnieniom artyzmu Wyspiańskiego, bez których uświadomienia sobie niema również należytego zrozumienia jego problemów narodowych.

Krytyka zawodowa poszła już szczęśliwie naprzód w tym kierunku. Prof. Sinko w „Antyku Wyspiańskiego" odsłonił hellenizm autora „Achilleidy", W. Trojanowski wypełnił wprawdzie pobieżnie, lecz naogół, zupełnie trafnie, rażącą lukę w badaniach nad Wyspiańskim, dając zarys jego twórczości i upodobań w zakresie sztuk plastycznych, wspominając również tu i owdzie o filjacjach literackich. Studja w tym kierunku powinny pójść głębiej i dalej. Wyspiański — artysta jest jeszcze wciąż mglistym cieniem, błąkającym się pośród masek II-go aktu „Wyzwolenia".

Moja próba określenia stosunku twórczości poetyckiej autora „Legendy" i „Akropolis" do dramatu muzycznego i teoryj artystycznych Ryszarda Wagnera nie wybija drzwi zamkniętych. Nie są one jednak otwarte — zaledwie nieco uchylone. I tutaj, jak w wielu innych zagadnieniach zawdzięczamy inicjatywę prof. Since. Wskazał on na Schuré'go, jako informatora naszego poety o sztuce Wagnera. Pierwszy krok zrobiony, należy zatem pójść dalej, wyświetlając dokładniej podjęty temat w myśl intencji pomnażania wiedzy o artyzmie Wyspiańskiego, który poszukiwał wciąż nowych wrażeń, idej i inspiracyj — w wartkich, ożywczych prądach współczesnej kultury i sztuki europejskiej. A taką zdolność odświeżania i wzbogacania piękna miało wtedy między innemi dzieło Wagnera.

Być może, że metoda porównawcza narazi mnie na zarzut ulegania t. zw. „wpływologji", zwłaszcza ze strony tych, którym wystarcza krytyka impresjonistyczna ze wszystkiemi jej kaprysami i dowolnościami. Obruszą się może również egzaltowani wielbiciele poety, co radziby wyprowadzać rodowód jego natchnienia tylko z prailów podświadomości i snów. A jednak temi drogami nie dojdzie się chyba nigdy do właściwego ujęcia jego myśli i tej konstrukcji piękna, którą zdobył— jak się sam wyrażał — „logiką artystyczną".

— — — — — — — — — — — — — —

Twórca „Pierścienia Nibelungów" zainteresował Wyspiańskiego bardzo wcześnie, bo jeszcze przed wyjazdem do Paryża, naprzód swą muzyką. Grywał mu ją zapalony wagnerysta, kolega i przyjaciel, H. Opieński. Od czasu do czasu zdobywały się koła muzyczne Krakowa na jakiś koncert z uwerturą wagnerowską, modną wówczas atrakcją, a c. k. kapele wojskowe miały stale w repertuarze niezawodny marsz weselny z „Lohengrina".

Lecz głębsze zajęcie się Wyspiańskiego „dramatami myzycznemi" i teorją Wagnera rozpoczyna się dopiero od czasów paryskich, kiedy młody artysta, chłonąc przebogate wrażenia z wielkiej metropolji sztuki, nie omijał obfitych źródeł kultury muzycznej, wyrabiając sobie w tej dziedzinie wrażliwość i smak ponad miarę przygodnego bywalca operowego. Nie wyszedł wprawdzie nigdy poza granice gorącego miłośnictwa i nie pokusił się o opanowanie techniki muzycznej. Muzyka była dlań tylko krainą używania estetycznego, źródłem najrozkoszniejszego marzenia, najpewniejszą podnietą wyobraźni i uczucia. Najsilniejsze pod tym względem wrażenia dawała mu opera

paryska, gdzie oprócz pierwszorzędnych śpiewaków i doskonałej orkiestry, miał jeszcze świat kulis — teatr, pod którego nieprzepartym urokiem trwał od lat chłopięcych.

Z entuzjazmu dla opery zrodziła się wprawdzie nie muzyczna, lecz dramatyczna twórczość Wyspiańskiego: „Danaidy", „Fantaści", „Hiob", „Wanda" i jedyny z tej epoki zachowany „Daniel". Pisane były jednak z myślą o muzyce, mającej je ilustrować. Czy miały być librettami we właściwem słowa tego znaczeniu? — Nie. Ich stosunek do ilustracji muzycznej był o wiele luźniejszy. Dramat literacki dominował bezwzględnie, nie ulegając w niczem muzyce, która tylko sporadycznie miała towarzyszyć akcji scenicznej, jako chwilowy środek wzmocnienia nastroju. W historji muzyki teatralnej nazywa się to — „melodramem". Nad ilustratorem muzycznym miał poeta i pod tym względem stanowczą przewagę, że podsuwał mu pomysły kompozycji.

W projektowanej ilustracji muzycznej do „Daniela" daje Wyspiański Opieńskiemu plan: uwertura, fanfary, marsze, balety. Same już nazwy świadczą, że miała to być muzyka w stylu wielkiej opery francuskiej. W jednym z listów projektuje Wyspiański balet w „Danielu" i powoływa się na balet z „Fausta".

Z czasem zamiłowanie do muzyki operowej dojdzie do niezwykłej egzaltacji. Ogarnia go wtedy tęsknota do jakiejś nowej, zreformowanej opery polskiej. Nieziszczalnym marzeniom daje folgę w liście do przyjaciela: „Ja chcę stworzyć to, czego niema i czego spodziewać się po nikim nie mam żadnych danych. Ja chcę stworzyć operę polską, którą Moniuszko rozpoczął".

Być może, że te ambicje, tak znamienne dla usposobienia i charakteru Wyspiańskiego, były dalekiem echem reformy operowej R. Wagnera, z którego dramatami muzycznemi zapoznawał się — jak twierdzi Trojanowski — w Bayreuth, wracając z pierwszej podróży zagranicę do kraju. W Paryżu zapewne, gdzie opery Wagnera były dość często grywane, czytał E. Schuré'go: *„Richard Wagner, son oeuvre et son idée"* oraz *„Histoire du drame musical"*. Dzieła te, pełne podziwu dla twórcy „Pierścienia Nibelungów", przyczyniły się niemało do spopularyzowania Wagnera we Francji. Schuré'mu utorował już drogę Baudelaire, który w 1861 r. po słynnej premjerze „Tannhäusera" w Paryżu, rekomendował „zarozumiałym i nieufnym Frankom" rewelatorską twórczość „germańskiego genjusza". Zainteresowanie się Wagnerem rosło szybko; w latach 80-tych mówi się już nad Sekwaną o entuzjastach Wagnera, wprawdzie nie tyle może wśród muzyków, co w młodszem pokoleniu literatów i poetów, którzy zakładają w roku 1885 kapliczkę kultu wagnerowskiego — *„La Revue Wagnerienne"*. Czasopismo to staje się sztandarem nowych haseł artystycznych, na jego szpaltach — jak pisze F. Strowski — był Wagner „dla młodszych poniekąd terenem porozumienia, nietylko przez dzieła muzyczne, ale również przez ogólne teorje o sztuce". Dla młodych, a zwłaszcza t. zw. „symbolistów", którzy dążyli za wszelką cenę do umuzyczniania ekspresji poetyckiej.

W tym samym mniejwięcej czasie zapoznaje się Francja dokładniej z filozofją Schopenhauera, który wyznacza muzyce miejsce naczelne wśród sztuk pięknych, darząc ją niepodzielnym przywilejem bezpośredniego wyrażania najwyższej metafizycznej zasady: — Woli.

Nie można tu pominąć trzeciego Niemca — Fr. Nietzsche'go. Jego „Narodziny tragedji z ducha muzyki" zdobywają sobie entuzjastyczne uznanie wśród „młodych", jakby ci już zapomnieli, że posiadają znakomite „Dwie Maski" Saint-Victor'a, sięgającego niemniej głęboko, lecz z wielką rozwagą, umiarem i kryształową, galicką jasnością w mroczne zaczątki tragiki greckiej.

W latach 90-tych, kiedy Wyspiański przebywał czterokrotnie w Paryżu, i jak świadczą listy, interesował się żywo współczesną literaturą francuską, poezja młodych była jeszcze pod zaklęciem poetyki Verlaine'a: *„de la musique avant toute chose"*. Cała niemal szkoła „symbolistów" podziela przekonania Mallarmé'go, że „dusza jest melodją, którą należy wyzwolić". Paul Valéry, pilny uczestnik ówczesnych dysput literackich i doskonały znawca epoki, określa dążenia kierunku temi słowami: „to co ochrzczono nazwą symbolizmu, da się wyrazić wspólnem usiłowaniem wypożyczenia od muzyki jej skarbów. Żywiliśmy się muzyką i marzyli tylko o tem, aby wydobyć ze słów te same wrażenia, jakiemi nieraz dźwięki muzyki grały na naszych nerwach" *).

Czyżby te hasła miały pozostać bez wpływu na naszego poetę? Wszak w epoce paryskiej jednym z jego ulubionych autorów był Maeterlinck, najwybitniejszy przedstawiciel dramatu symbolicznego. Jego liryki w zbiorze *„Serres Chaudes"*, które natchnęły Wyspiańskiego do kilku kompozycyj rysunkowych, były jedną z udatniejszych prób „wypożyczenia od muzyki jej skarbów". A proza maeterlinckowskich dramatów kołysała się nieustającym rytmem cichej, nastrojowej melodji.

Gdybym miał niewzruszoną pewność co do autentyczności napisanej po francusku: *„La legende du roi"*, którą ogłosił Feldman w pismach pośmiertnych Wyspiańskiego, powołałbym się na ten wiersz jako na najlepszy dowód oddziaływania wskazań poetyki verlainowskiej. Kunsztowna jego forma i niezwykła melodyjność stoją na poziomie liryków, ogłaszanych w *„Mercure de France"* lub *„La Revue Hebdomadaire"* pod koniec ubiegłego stulecia.

Efekty onomatopeiczne i alliteracje autora „Legendy" i „Wesela", jego refreny i inne figury stylistyczne—jak słusznie zauważył W. Borowy—są oparte nietylko na pewnych konstrukcjach pojęciowych, ale i dźwiękowych. Trudno przypuścić, by ta „muzyczność" była tylko skłonnością nabytą. Były zapewne tendencje wrodzone, chociaż ani poezje z czasów szkolnych, ani najwcześniejsze próby dramatyczne, nie wykazują wybitniejszego w tym kierunku talentu i zamiłowania. Wiersz Wyspiańskiego umuzycznia się powoli i stopniowo, ulegając przedewszystkiem suggestjom rodzimym rytmiki Mickiewicza („Dziady"), Ujejskiego i Lenartowicza. W niektórych dramatach dźwięczy żywa pieśń ludowa, często jej parafraza, czasem z jednej melodji rozpływa się nastrój na całe dzieło („Warszawianka").

Jednak w pewnych utworach „muzyczność" występuje w takiej obfitości i z takiem natężeniem, nieraz wprost z wysiłkiem, że trudno oprzeć się wrażeniu, iż działała tu nietylko naturalna skłonność, lecz jakby metoda i przemyślany program zastąpienia treści pojęciowej słowa samą jego muzyką — *de la musique avant toute chose*... I ta właśnie programowość jest już następstwem suggestyj paryskich.

A Wagner? — zapyta czytelnik, upoważniony do tego przypomnienia, choćby tylko samym tytułem rozprawy. Muzyczność wagnerowskiego słowa, manifestująca się w samych tekstach literackich, nie zaważyła wydatniej na wierszu Wyspiańskiego. Chyba w tu i ów-

*) Cyt. w R. Lalou *„Histoire de la litt. fr. contemp."*

dzie użytych alliteracjach, jak np. w balladzie „Legendy“ możnaby się dopatrywać odpowiednika do wagnerowskiego „*stabreim*'u“. Natomiast niezaprzeczony wpływ miała teorja „motywów przewodnich“ (*Leitmotive*), zastosowana częściowo w „Legendzie“, i to nietylko w planie zamierzonej ilustracji muzycznej, lecz także w samym dramacie.

Kiedy „Legenda I“, będąca przeróbką pisanej w Paryżu „Wandy“, była już wykończona i toczyły się układy z dyr. Pawlikowskim o jej wystawienie, zwraca się autor listownie do Opieńskiego z prośbą o przygotowanie części muzycznej, proponując wprowadzenie „motywów“ w stylu wagnerowskim, „dysonansów wodnych“, jakby z myślą o „dysonansach“ w „Złocie Renu“, oraz przygrywki „uogólniającej głębie wody płynącej“, co nam przypomina motyw fal („*Wellenmotiv*“) w pierwszej scenie tej opery.

Motyw główny wysnuwa Wyspiański z powtarzanego w akcie I-szym przyśpiewu: „Słyń królu, słyń!—wieczystych chwał rycerzu, bohatyrze!“, kiedy fantastyczny orszak Wiślan porywa Kraka a Wanda podejmuje wodzostwo nad Polanami. W „Legendzie I“ jest to „motyw sławy“ Kraka i według programu ilustracji muzycznej—„powtarza się przy rozmowach i trwa ciągle przyciszony“. Zapewne miał tak trwać do końca, skoro brzmi jeszcze w ostatnich słowach dramatu, jako zamknięcie ideowe i muzyczne dzieła.

W „Legendzie II“, kiedy autor zrezygnował z ilustracji muzycznej, ten sam „motyw sławy“ ujęty już tylko w melodyjny rytm słów, przenosi się na Wandę, jako główną postać dramatu i zapowiada jej triumf w końcowej scenie: „Sława się z wody lęgnie—zwycięstwo mam“ i kiedy natychmiast: „z podwodnych skał ścieliska — stają mury zamczyska — ze złota a z błękitu — od spodów aż do szczytu“. Jest to wizja przyszłej, wspaniałej rezydencji królów polskich, której zaczątkiem było drewniane Kraka dworzyszcze. W tym momencie bohaterska ofiara Wandy przeobraża „narodek“ Polan w „NARÓD“, co autor zaznacza graficznie.

We wskazówkach do ilustracji muzycznej „Legendy I“ zwraca Wyspiański ponadto uwagę na wyłaniający się z „dysonansów wodnych“ śpiew rusałki „Krasny wianek masz u czoła, krasny wianek z naszych wód — rzuć (wróć) nam wianek, Wisła woła — czarem ocaliłaś lud“. Śpiew ten, powtarzany wielekrotnie tak w „Legendzie I“ jak i „Legendzie II“, jest poniekąd również motywem przewodnim. Muzycznie i pojęciowo wyraża klątwę wianka, który przynosi Wandzie śmierć a jej ludowi daje ocalenie.

Oba motywy: Sławy i wianka występują w „Legendzie II“ już nie formie muzycznej, lecz tylko jako literackie środki ekspresji dramatycznej. Czy poeta zawiedziony przez muzyka, który ilustracji nie skomponował, miałby argument usprawiedliwiający taką transpozycję? Sądzę, że i tym wypadku znaleźlibyśmy wyjaśnienie u Wagnera, który w kooperacji operowej poety z muzykiem, dawał pierwszeństwo poecie i dowodził, że: „główne motywy ma poeta i według niego odtwarza je muzyk. Najważniejszemi w dramacie są te motywy, z których poeta, jakby ze zgęszczonych i wzmocnionych podstaw akcji, wyprowadza kolumny gmachu dramatycznego“*). Takiemi „zgęszczonemi“ podstawami akcji są w „Legendzie“ motywy sławy i wianka.

Wyraźny wpływ techniki muzyczno-dramatycznej twórcy „Złota Renu“ zaczyna się i kończy na „Legendzie“. Muzyczność innych dramatów polega już na zasadach autonomicznej wersyfikacji. Jak zaznaczył Cezary Jellenta („Muzyka“ nr. 4—5, 1928) — „gdy przychodzi chwila, że siły i moce nieziemskie, nierealne schodzą na scenę, otwiera się miejsce na muzykę... kiedy Kora żegna się z Demetrą, albo gdy harfiarka uwodzi swą ułudą w „Wyzwoleniu“, i trąca w struny tęskliwe“.

Melodja wiersza potęguje się zawsze, ilekroć człowiek staje wobec wielkich zjawisk przyrody, kiedy morze swym bezkresem, głębią i nieustannym ruchem szumiących fal, budzi w nim poczucie nieskończoności i odkrywa pogrążonemu w panteistycznej zadumie — najtajniejsze zagadki bytu („Achilleis“, „Powrót Odysa“); kiedy walka dnia z nocą, światła z ciemnością kończy się triumfem mocy, życia i piękna („Akropolis“); kiedy cicha mowa wiatru wyjawia ludziom czyny obce, podszeptuje ich czyny własne i zrywa zasłonę z tajemnic przyszłości (Świst i Poświst w „Bolesławie“ i „Skałce“). Melodyjność dochodzi oczywiście do największego napięcia, ilekroć w dramacie odzywa się muzyk, śpiewak, chór lub instrument muzyczny (gra chochoła w „Weselu“, śpiew i gra Harfiarza, gra organów i dzwonów w „Akropolis“).

(d. c. n.) PRZEMYSŁAW MĄCZEWSKI

*) R. Wagner: „*Gesammelte Werke*“. Leipzig-Hesse. Tom XI „*Oper und Drama*“ str. 309.

*
* *

Kiedy ongiś — wiadoma — ciasno upleciona
pełna dziecka opałka chwiała się na Nilu
nim z nadbrzeżnych szuwarów, czarna niewolnica
przed stopy długookiej córki Faraona
wywlokła ją złowioną na oślizły ił,
kiedy jeszcze królewnej oskrzydlone lica
nie schyliły nad koszem złotego profilu —
krokodylu, krokodylu, krokodylu,
gdzieś ty był?!

FELIKS JERZYKOWICZ

LIBERUM VETO

Konstytucja sztywna, giętka i połamana. — Nasze zwyczaje konstytucyjne. — Nasi marszałkowie sejmu. — Zabiegi p. Daszyńskiego.—Przyczynek kodeksowy.— Co to jest obrona konieczna?

JAK wiadomo, konstytucja angielska nie posiada ustawy napisanej, lecz składa się ze zwyczajów parlamentarnych i wyroków sądowych. Te zwyczaje są równie obowiązujące, jak prawa.

Tak. np. niema prawa, nakazującego zwołanie parlamentu corocznie lub powierzającego rządy przedstawicielowi większości Izby gmin, a jednakże gdyby monarcha nie postąpił w tych wypadkach według zwyczaju, wywołałby oburzenie narodu, któryby go zmusił do zachowania tradycji. Z innych powodów znaleźliśmy się w podobnem położeniu. Anglicy nie mają ustawy państwowej dlatego, że jej napisać nie chcieli, bo są przeciwnikami konstytucji „sztywnej“, niezmiennej — jak francuska lub belgijska — i wolą mieć „giętką“, którą zmienić można z dnia na dzień. My po odzyskaniu niepodległości ułożyliśmy sobie konstytucję „sztywną“, ale przed trzema laty połamaliśmy ją, pokruszyli, opluli i wyrzucili na śmiecie, gdyż — jak wytłumaczono — „naród idjotów“ wybrał sobie „sejm ladaczników“. Od tego czasu zaczęliśmy wytwarzać i wytwarzamy dotąd zwyczaje konstytucyjne i konstytucję „giętką“. Marszałek Rataj nie zaprotestował przeciwko zamachowi majowemu, lecz zwołał sejm, który wraz z nim uznał fakt dokonany za prawny i w związku z nim podjął obrady, jak gdyby nie dokonał się żaden przewrót w ustroju państwa. Ponieważ zaś „giętkość“ konstytucji daje wszechmoc ciału ustawodawczemu, a my pragnęliśmy je ubezwładnić, przeto odstąpiliśmy od wzoru angielskiego i zamiast zginać, zaczęliśmy łamać. I połamaliśmy tak skutecznie, że dziś spisana przed ośmiu laty konstytucja polska jest tylko wspomnieniem historycznem. Zastąpiły ją zwyczaje. Pierwszy zrodził się przed trzema laty w maju. Świeżo powstał nowy, bardzo ważny i dla ustroju państwa polskiego bardzo znamienny. Dowiedzieliśmy się z listów publicznych, że marszałek sejmu zapytywał przez osobę pośredniczącą ministra wojny, czy zechce go przyjąć. Otrzymawszy odpowiedź przychylną, napisał list do ministra o wyznaczenie mu terminu audjencji. Stawił się o wskazanej godzinie. Gdy go minister zapytał, czemu zawdzięcza tę wizytę, marszałek opowiedział mu o rozpaczliwem położeniu gospodarczem kraju i o możliwości zlepienia z rozmaitych żywiołów większości w sejmie, którаby, współpracując z rządem, pomogła do wyciągnięcia społeczeństwa z przepaści, codzień głębszej. Minister nie zgodził się z pesymizmem marszałka, a dla dalszej narady w tej sprawie odesłał go do prezesa najliczniejszej partji sejmowej i do prezesa Rady ministrów. Koniec tego przedsięwzięcia w tej chwili nas nie obchodzi, znany on jest zresztą z gazet, zastanówmy się tylko nad jego początkiem.

Według ścisłej logiki konstytucjonalizmu demokratycznego najwyższym dostojnikiem państwa jest marszałek parlamentu czyli sejmu. Jest nim nawet w monarchicznej Anglji, gdyż i tam raczej parlament może usunąć króla, niż król może usunąć parlament. Wola króla nie jest prawem i może być zaskarżona do sądu, a wola parlamentu jest prawem i nie może być unieważniona przez żadną władzę. Wobec tego marszałek parlamentu czyli sejmu, uosobjający przedstawicieli narodu, który stanowi najwyższą instancję w państwie, ma być szczytem jego piramidy hierarchicznej. Tego albo nie uświadomili sobie albo nie pamiętali ostatni marszałkowie naszego sejmu. P. Rataj zniżył swoją godność aż do roli zwyczajnego pośrednika międzypartyjnego, którą w przewrocie majowym odegrał z usłużnością maklera giełdowego i gotowością najmity do wszystkiego. Zmienił się pan, więc i on zmienił swoją wierność. Nie miał ani chwili poczucia wysokiej godności, swego przedstawicielstwa narodu, obowiązku strzeżenia konstytucji, koniecznej dumy i olbrzymiej odpowiedzialności; rozumiał tylko, że trzeba dopasować się do nowych warunków i do nowej woli, której oprzeć się nie śmiał a oprzeć się był powinien. Możnaby go było do pewnego stopnia usprawiedliwić, gdyby był stronnikiem dokonanego przewrotu; ale on przekonaniem był przeciwny, tylko czynem mu dogadzał. Tak postąpił dostojnik państwa, przedstawiciel władzy prawodawczej, naczelny strażnik konstytucji!

P. Daszyński miał kiedyś kości kręgosłupa twardsze, ale z czasem tak mu zmiękły, że przed wojną sam jak bluszcz się obwijał i innym zalecał obwijanie się około tronu austrjackiego. Niewątpliwie niósł on godność marszałkowską wyżej, niż p. Rataj, ale nie tak wysoko, jak tego wymagało jej znaczenie państwowe. I on wszedł na drogę *„chadataja po dielam“*—jak mówili Rosjanie, na drogę pośrednictwa, zabiegów, starań, usług międzypartyjnych i uniżoności tam, gdzie potrzebna była duma majestatu przedstawiciela narodu. Okazał to szczególnie w ostatnim wypadku, w którym mocno nadwyrężał swój honor marszałkowski. Jeżeli ten wypadek nie zarysował się w opinji publicznej z całą swoją ujemną jaskrawością, to tylko dzięki temu, że już przywykliśmy do zupełnego pomieszania pojęć konstytucyjnych, że nadajemy osobom, urzędom, władzom i ich stosunkom całkiem inne znaczenie, niż one posiadają ze swej istoty i prawa, że uważamy za naturalne, gdy jeden minister mianuje innych, zatrzymuje dla siebie decyzję w obrębie ich działania, wydaje im rozkazy i t. d. Ale przenieśmy sprawę na inny grunt, gdzie pomieszania pojęć niema, gdzie abecadło konstytucji czyta się tak, jak jest napisane a nie dowolnie. Czy marszałek izby francuskiej, chcąc porozumieć się z ministrem, posyłałby do niego naprzód jakąś zaufaną osobą po zapewnienie, że będzie przyjęty, czy pisałby listy z prośbą o wyznaczenie audjencji, a nadewszystko czy zwracałby się do ministra wojny z propozycją utworzenia większości w parlamencie? Tym razem p. Piłsudski słusznie odesłał p. Daszyńskiego do naczelnika rządu i przewodniczącego najliczniejszej partji w sejmie, a postąpiłby jeszcze słuszniej, gdyby p. marszałkowi przypomniał jego stanowisko ponad ministrami, którzy w myśl Konstytucji 17 marca są tylko wykonawcami woli narodu, wyrażonej przez jego przedstawicieli w sejmie. Stanisław August kazał sobie podszyć wewnątrz koronę, która była za wielką na jego małej głowie, ale nie tak łatwo podsztukować zbyt wielką godność na mały charakter. Z pewnością cały sejm od prawego do lewego krańca jest przekonany, że Trąmpczyński jako jego marszałek nie zachowałby się ani jak p. Rataj, ani jak p. Daszyński. Żyjący dziś między nami poeta łaciński powiedziałby: *non solum poëtae sed etiam mareschalci nascuntur.*

Gdyby jak w Anglji nasze *common law* i nasza konstytucja tworzyły się z wyroków sądowych, otrzymałyby z ostatniego procesu ważny przyczynek. Winienem uprzedzić czytelnika, że jestem zupełnie niezdolny do pojęcia niektórych dogmatów prawniczych. Tak np. nie mogę zrozumieć słuszności zasady, według której w kraju z ludnością w 99% nieznającą żadnych ustaw „nikt nie może się tłumaczyć niezna-

jomością prawa". Drugą podobną zagadką dla mnie są artykuły dotyczące t. z. „obrony koniecznej". Jeżeli ktoś mnie napadnie w nocy lub włamie się przez okno do mojego mieszkania bez żadnej broni, nawet bez kija a ja go zastrzelę, zostanę ukarany za przekroczenie granic „obrony koniecznej". Podobnie będę odpowiedzialny, gdy zabiję złodzieja, kradnącego moje mienie. Sąd przenosi swoją znajomość faktu, osiągniętą przez zbadanie świadków i dowodów, na oskarżonego, który jej mieć nie mógł: sąd wie, że napastnik nie miał broni, zagrażającej życiu, ale napadnięty nie wie. Zachodzą przytem okoliczności, które zupełnie usprawiedliwiają domniemanie niebezpieczeństwa utraty życia. Jeżeli w jakimś lesie powtarzają się morderstwa, to chociażby ktoś napadł z pustemi rękami, napadnięty może przypuszczać, że te ręce nie były puste. O godzinie 6 rano dwaj oficerowie zaczęli dobijać się do mieszkania oficera dymisjonowanego, który miał zatarg z pułkownikiem. Oni twierdzą, ze przyszli go tylko wyzwać na pojedynek, a on utrzymuje, że ze względu na porę i na groźną postawę przybyłych mógł w nich widzieć tylko takich napastników, jacy zoperowali Zdziechowskiego, Nowaczyńskiego, Mostowicza, Strońskiego i innych, dlatego odrazu zaczął się bronić strzałami z rewolweru, które zraniły jednego. Sąd nie uznał tego tłumaczenia i ukarał oskarżonego dwuletnim więzieniem. A wy, czytelnicy, pomyślcie nad tem ważnem zagadnieniem prawnem i życiowem. Jestem przekonany, że wszyscy rozwiążecie je jednakowo...

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

SPRAWA WÓJCIKA

WIELKIE wrażenie zrobił w społeczeństwie polskiem proces b. oficera rezerwy Józefa Wójcika. Sąd Okręgowy w Warszawie pod przewodnictwem sędziego Wyczyńskiego skazał Wójcika na dwa lata więzienia za usiłowanie zabójstwa. Pan Józef Wójcik, cieszył się w wojsku, w życiu rodzinnem, społecznem i towarzyskiem opinją człowieka szlachetnego, stałych zasad i nieskazitelnego. Skądże ta tragedja? Historja krótka, podaje ją akt oskarżenia.

W dniu 2 czerwca b. r. w święcie pułkowem 36 pułku brały udział poczty sztandarowe organizacyj młodzieży akademickiej. Podczas defilady orkiestra zagrała „pierwszą brygadę", ową melodję, która się z Niemiec tu zabłąkała i której używania nie można pewnej sferze wojskowej wyperswadować. Wtedy młodzież akademicka, nie chcąc brać udziału w koteryjnej demonstracji, wyszła z szeregów. Było z tego powodu dużo hałasu, a pułkownik Ulrych ogłosił w prasie list, w którym wyrażał nadzieję, że czas te nieporozumienia w Legji Akademickiej zatrze. Na to otrzymał p. Ulrych list od b. oficera Wójcika, który wyraził inne zdanie: „żadna siła ludzka nie wydrze z mózgu nikogo, kto ma duszę polską, widoku pomordowanych oficerów i żołnierzy w maju 1926 r. i że pojednanie może nastąpić w przyszłości jedynie w drodze innej ofiary" (akt oskarż.). Pułkownik kazał ten list odesłać z adnotacją, że listu pisanego przez warjata nie przyjmuje się do wiadomości. Wtedy Wójcik wysłał kartkę, w której zarzucił pułkownikowi, że 13 maja przehandlował honor i że teraz nie ma prawa obrażać się. Nazajutrz p. Wójcik i jego żona zostali zbudzeni o godz. 6 rano (mieszkają w Piastowie) głośnem stukaniem. Dwaj porucznicy, W. Cebrowski i Aleks. Nowaczyński, puszczeni do środka, zetknęli się z Wójcikiem. Wywiązała się walka. Wójcik strzelił, uderzony w twarz, błysnęła szabla, pani Wójcikowa usiłowała zasłonić męża. Wszyscy pokaleczeni. W rezultacie porucznikowie się oddalili, a wkrótce Wójcika, który zawiadomił władze wojskowe o napadzie, aresztowano.

Zadaniem sądu było rozwikłać ten momentalny fakt, jaka była jego logika: czy to był napad, a więc po stronie Wójcika obrona, czy też nieporozumienie, w którem Wójcik działał w przekonaniu, że to jest napad. Dokładne świadectwo żony nie przekonało Sądu. Sąd stanął na stanowisku, że pp. Cebrowski i Nowaczyński byli sekundantami pułk. Ulrycha, o czem Wójcik wiedział, i przyjął ich pomimo to strzałami, usiłując zabić; był to więc napad ze strony Wójcika.

Obrońcą p. Wójcika był znany prawnik, mecenas Stanisław Kijeński. Powołał się on na świadków, którzyby zeznali, jak odbyły się napady na Zdzichowskiego, Mostowicza i Nowaczyńskiego; sąd nie uznał potrzeby stosowania analogji i oświetlenia systemu.

Rozprawy obracały się koło zagadnień z zakresu kodeksu postępowania honorowego, czy istotnie świadkowie Cebrowski i Nowaczyński mogli być sekundantami, jak zeznają sami, powołując się na mocodawcę, świadka p. Ulrycha. Okoliczności takie, jak wczesna pora, i to, że oficerowie wypytywali wprzód stróża, czy nie ma w mieszkaniu innych mężczyzn i w jakim wieku jest Wójcik, że podczas walki byli w czapkach, przemawiały przeciw wersji o roli sekundantów. Był fakt uderzenia w twarz, więc i tu kwestja, czy wprzód był strzał Wójcika, a uderzenie było środkiem obrony, czy odwrotnie.

Sprzeczności były co do roli jaką odgrywała w zajściu szabla p. Cebrowskiego, który ranił p. Wójcikową. Świadek i uczestnik jednocześnie utrzymywał, że trzymał za ostrze, a uderzał gardą. Ujawniło się na rozprawie, że por. Cebrowski jest tym oficerem, którego arcybiskup Kakowski oskarżył przed paru laty, że na Bielanach pozwolił kompanji swojej śpiewać sprośne piosnki koło jego powozu.

Mecenas Kijeński w świetnem przemówieniu swojem doskonale zreasumował wyniki śledztwa i rozprawy i, wysoko podnosząc motywy obywatelskie postępowania p. Wójcika, domagał się uniewinnienia go. Mowa ta będzie cennym dokumentem historycznym i dla sądownictwa i dla obrazu epoki.

KUPCZENIE POLSKĄ

DYPLOMATA pokątny „sanacji" z ramienia masonerji, p. Aleksander Lednicki, jest, jak wiadomo, agentem na Polskę w aferze „Stanów Zjednoczonych Europy". Bawił teraz w Paryżu, gdzie Briand błysnął nadziejami, że ten interes da się zrobić. „*Ere Nouvele*" urządziła ankietę. Oczywiście Aleksander Robertowicz wziął w niej udział.

W wywiadzie jego nie widać cienia troski o byt Polski. Chodzi mu głównie o to, jakby Polaków zmanić, żeby na tę aferę poszli — zupełnie jak w sprawie Harrimana. Ostrzega swoich „braci", aby to robili ostrożnie:

„Po pierwsze" — są jego słowa — „pamiętać należy o uczuciach narodowych, szczególnie rozwiniętych w niedawno odbudowanem państwie polskiem — należy przeto nie razić tych uczuć".

A dalej dodaje:

„Nacjonaliści są jeszcze zbyt podnieceni — należy wprzód zdemobilizować umysły"...

„Nacjonaliści“ — to znaczy patrjoci. „Zdemobilizować“ — to znaczy unieruchomić, uśpić. Jednem słowem: interes trzeba robić sprytnie i ostrożnie, aby naród nie spostrzegł, że go chcą oszukać.

O patrjotyzmie polskim, o „uczuciach narodowych, szczególnie rozwiniętych w niedawno odbudowanem Państwie“ p. Lednicki może mówić z całym objektywizmem handlarza żywego towaru, nie jest bowiem Polakiem. Uczucia polskie wydają mu się objawem sezonowym i jest wyrozumiały: niech się Polacy pobawią jeszcze nowem państwem — „nie należy razić ich uczuć“.

Gorliwy komiwojażer wielkich finansów ostrzega dlatego, że przecież nie da się zataić, iż Polska będzie się musiała „zgodzić też na pewne ustępstwa w imię porozumienia międzynarodowego“. Bardzo delikatnie to powiedział:

„Europejski związek ekonomiczny nie omieszka pociągnąć dla każdego (?) narodu konieczności poczynienia pewnych ustępstw“...

Ciarki przechodzą po plecach, gdy pośrednik robi takie całkiem delikatne zastrzeżenia. Lednicki przeczuwa, że opozycja wyjdzie ze środowisk przemysłowych. Polska więc będzie musiała poświęcić dla Niemiec swój przemysł, zniesione bowiem będą granice celne. Martwi p. Lednickiego, że

„Niestety... przemysł wojenny, niezbędny dotąd w niespokojonej Europie, stanowił będzie poważną przeszkodę dla zniesienia granic celnych między państwami europejskiemi“.

To też należy wprzód „zdemobilizować“ patrjotyczne umysły:

„Zadaniem mężów stanu jest zbadać wspomniane trudności i rozważyć sposoby ich usunięcia, rozwijając w poszczególnych państwach nieustanną akcję na rzecz unji europejskiej“.

Wszystko trzeba „zdemobilizować“, uśpić, usunąć takie drobiazgi, jak trudności polityczne, zdławić życie narodów. Dla czego? Dla kogo? P. Lednicki odpowiada na to:

„W dziedzinie gospodarczej nadeszła chwila zrealizowania tej idei“...

To dla finansistów jest racja decydująca — racja giełdy. Oni, „gospodarze“ świata, wielcy finansiści tak zdecydowali, że „nadeszła chwila zrealizowanii tej idei“.

Interes ten robią na gwałt pośrednicy międzynarodowi: Coudenhove-Calergis i idący z nim do spółk-Toeplitz-Lednicki. Robiący w drzewie i innych arty kułach spekulant staje się politykiem handlującym Polską. Rzuca więc na łamach „*Ere Nouvelle*“ poglądami politycznemi, nie dotykając oczywiście Niemiec, którym tak dyskretnie służył w tym samym duchu w czasie wojny:

„Polska“ — zapewnia p. Toeplitz-Lednicki Europę—„nie przyjmie idei związku europejskiego inaczej, jak po przystąpieniu do niego Francji i Belgji. Przyszły związek nie może być skierowany przeciw interesom angielskim“.

P. Lednicki z bólem serca pomija Rosję, nie widząc dla niej miejsca w związku, ale dodaje:

„Proszę wierzyć, że naród rosyjski jest wielkim narodem o kulturze europejskiej“...

Któżby ci kiedykolwiek nie wierzył, Aleksandrze Robertowiczu!

WYCHOWANIE NARODOWE

GOŚCIE Z ZACHODU

W CZASIE letnim b. r. odbył się V Międzynarodowy Zjazd Ligi Nowego Wychowania w Helsingör w Danji. Z Polski brało w nim udział 68 osób. z przedstawicielami Ministerjum W. R. i O. P. oraz z nieodzowną p. Heleną Radlińską (z domu Reichman) na czele.

We wrześniu przybyło do Polski na zaproszenie Ministerstwa, obok innych pedagogów zagranicznych, także kilku wybitniejszych przedstawicieli Ligi Nowego Wychowania w celu zapoznania się ze szkolnictwem naszem przez zwiedzenie działu szkolnictwa na P. W. K. oraz szeregu szkół w kraju.

Niektórzy z tych gości wygłosili w Warszawie odczyty, które dały sposobność do zetknięcia się z nimi szerszej publiczności, złożonej przeważnie z nauczycielstwa.

Z natury rzeczy, wobec nieznajomości audytorjum, ograniczali się ci prelegenci do rzeczy bardzo elementarnych i znanych każdemu jako tako obeznanemu z literaturą pedagogiczną. Jednakowoż, słuchając przemówień, spotykało się w nich momenty, nasuwające pewne refleksje.

Pierwsza przemawiała Angielka, p. Beatrice Ensor, redaktorka kwartalnika „*The New Era*“, angielskiego organu Ligi Nowego Wychowania*). Mówiła płynnie i z wielką swadą po francusku, porywając słuchaczy żywością słowa i gestykulacji, ujętej w estetyczną formą. Tematem były zasady „nowego wychowania“, polegającego w najogólniejszem ujęciu na dopomaganiu do swobodnego rozwoju sił i zdolności wrodzonych dziecku w przeciwstawieniu do urabiania go jak martwego materjału. Mówczyni podniosła przytem, że hasła „nowego wychowania“ stanowią zagadnienie, nie rozwiązane jeszcze całkowicie i które każdy naród stosownie do właściwości swoich rozwiązać powinien. Mówiąc dalej, o ideale wytworzenia harmonji międzynarodowej, zaznaczyła również, że ma to być polifonja, w której każdy naród ma posiadać swój ton własny. Oby zrozumieli to ci wszyscy, co z nabożeństwem pielgrzymują na międzynarodowe zjazdy i do różnych Mekk pedagogicznych, że nie wystarczy naśladowanie cudzych wzorów, ale trzeba tworzyć własne rozwiązania ogólnych zagadnień, dostosowane przedewszystkiem do własnej indywidualności narodowej. Tak pojęte „nowe wychowanie“ nie powinno być monopolem masonerji i radykalizmu, ale właśnie stać się hasłem wychowania narodowego. Dowodem tego, że tak być może, jest fakt, że włoskim organem Ligi Nowego Wychowania jest „*L'Educazione Nazionale*“, miesięcznik redagowany przez prof. G. Lombardo Radice, organizatora szkolnictwa elementarnego we Włoszech po przewrocie faszystowskim.

Przechodzę do dalszego odczytu, którego miałem sposobność wysłuchać. P. Elżbieta Rotten, redaktorka niemieckiego organu Ligi N. W., miesięcznika „*Das Werdende Zeitalter*“, mówiła o nowem szkolnictwie niemieckiem. Na wstępie wyznała mówczyni, że obóz jej, dążący do stworzenia nowych, demokratycznych Niemiec, żyjących zgodnie z innemi narodami, jest („dotąd“ według słów jej) w mniejszości, większość zatem nie przestaje zwracać oczu ku przeszłości. Przedstawiając dalej cechy nowego szkolnictwa niemieckiego, stwierdziła p. Rotten,

*) W języku francuskim odpowiednikiem jego jest „*Pour l'Ere Nouvelle*“, miesięcznik redagowany przez A. Ferrière'a, o innych wspomnę jeszcze w dalszym ciągu.

iż w dziedzinie szkolnictwa powszechnego nastąpiła zmiana w duchu demokratycznym o tyle, że pierwsze 4 lata szkoły początkowej, „*Grundschule*“, stały się szkołą powszechną dla wszystkich dzieci; zniknęły „stanowe” szkoły wstępne do szkół średnich. Szkoła średnia natomiast nie została obcięta od dołu, niższe jej klasy istnieją obok wyższych klas szkoły elementarnej. Nie cofając się przed żadnemi eksperymentami wprowadzono, obok innych typów szkoły średniej także typ zwany „*Aufbauschule*“, t. j. zredukowany do klas wyższych, nadbudowanych nad pełną szkołą elementarną, uczyniono to jednak także ze względu na to, ażeby młodzież wiejska nie potrzebowała odrywać się od swego kulturalnego środowiska*). Tendencja do czynienia doświadczeń, do pozostawiania swobody w tym względzie nauczycielstwu cechuje wogóle niemieckie szkolnictwo powojenne, dbają też tam nie o ujednostajnienie, ale przeciwnie o otwarcie jak najliczniejszych możliwości każdemu uczniowi. Mówczyni wspomniała, że tendencja do różniczkowania doszła do takiej przesady, iż w pewnej chwili naliczono 40 odmian szkoły średniej, dopiero trudności praktyczne zmusiły do zredukowania tej liczby. Jeden z przywódców radykalnego odłamu nauczycielstwa, Paul Oestreich, redaktor miesięcznika „*Die Neue Erziehung*“, stworzył nazwę „elastycznej szkoły jednolitej“ („*elastische Einheitsschule*“), wyrażając w niej dążenie do szkoły, uwzględniającej wszelkie potrzeby i różnice indywidualne.

Elastyczność i większe różniczkowanie ustroju szkolnictwa jest w związku ścisłym z większem różniczkowaniem struktury społecznej i stopniem kultury danego narodu. Jasno to się uwydatniło przy zestawieniu odczytu o szkolnictwie niemieckiem z odczytem prof. D. Kacarowa o szkolnictwie bułgarskiem. Prof. Kacarow redaguje w Sofji dwumiesięcznik „*Swobodno Vaspitanie*“, który również zaliczony jest do organów Ligi N. W. Jakżeż odmienny jednak od niemieckiego obraz szkolnictwa swego kraju przedstawił nam w swym referacie. Jednolitość szkolnictwa podzielonego na 3 stopnie: szkołę elementarną, progimnazjum, gimnazjum, z których każdy prowadzi do wyższego, albo też może być ostatnim w wykształceniu danego ucznia, odpowiada ideałom naszych reformatorów z lewicy, który zapominają tylko wziąć pod uwagę różnic, jakie dzielą naród polski od bułgarskiego. Nie zapomniał o tem prof. Kacarow i na wstępie dał obraz społeczeństwa bułgarskiego jako niezróżnicowanego i wyłącznie prawie włościańskiego, dla którego ten ustrój szkolnictwa najzupełniej jest odpowiedni. Znamienne było pewne nieporozumienie przy końcu referatu. Mówca winszował Polsce podwójnego wyzwolenia: pierwsze—to zrzucenie obcego jarzma, drugie—to wyzwolenie demokratyczne — mówca wraz z innymi gośćmi był na przedstawieniu „Halki“ i treść tej opery (!!) wziął za przykład stosunków, jakie panowały przed tem wyzwoleniem w Polsce.

F. KOZŁOWSKI

*) Zob. B. Suchodolski: Reforma szkolnictwa średniego w Niemczech.

NAUKA I LITERATURA

MŁODZI IDĄ

UKAZAŁA się w handlu księgarskim (skład główny w księg. „Ossolineum“) bardzo ładna i pożyteczna książka Jędrzeja Giertycha, poświęcona idei służby harcerskiej na rzecz Polski p.t. „My, nowe pokolenie!“ W tytule jest wykrzyknik i dobrze on książkę charakteryzuje. To okrzyk dumy, raczej wiary w siebie; on daje ton książce. Pan Jędrzej Giertych, magister praw, jest harcmistrzem, członkiem czynnym Głównej Kwatery Związku Harcerstwa Polskiego. Pisze dla harcerzy jako harcerz, zwraca się do młodych w imieniu młodych.

Książka jego jest treści wychowawczej. Ale właśnie w tem leży siła pedagogiczna jego wskazań, że je głosi ktoś bliski i nie z teorji je czerpie, lecz z tego, czem sam żyje, dając żywy wzór z siebie.

Na książkę składa się kilkanaście wykładów obozowych treści moralnej: wykład prawa harcerskiego, drugi wykład: Służba Bogu, dalej — Ojczyzna, Nauka, Praca społeczna, Służba wojskowa, Polityka, Kobieta, Ognisko rodzinne, Przyjaźń i koledzy, Rodzinne strony, Przyjemność i wygoda, Tytoń i alkohol, Oszczędność, Harcerstwo. Zamyka zaś ten cykl wykład o tem, co to znaczy — My, nowe pokolenie!

Wszystkie powyższe tematy nie są łatwe do traktowania popularnego, jeśli nie klei się ich z frazesów. Autor opanował je doskonale i dlatego wykład jego jest prosty i przekonywający. Suggestywną moc ma wogóle zapał, który udziela ciepła czytającemu. Nie jest to jednak zapał Ody do młodości, dający jedynie tonację duszom. Dzisiejsze pokolenie umie hasło rozwinąć w pełnym rzeczowej treści programie. Nauka moralna p. Giertycha zaczepia zawsze o życie i każdą cnotę harcerską ściąga z koturnów bohaterskich do naturalnego obyczaju. Droga obowiązku nie wygląda stromo, a życie moralne osobiste wiąże się w sposób naturalny z publicznem.

Autor—widać to—przetrawił wiele z literatury naukowej i publicystycznej. Ostatni rozdział doskonale jest uzasadniony, jako program, wyjaśnieniami, jakie dał z dziedziny nauki o narodzie.

Każdy, kto książkę tę przeczyta, wdzięczny będzie p. Giertychowi za ukazanie najmłodszego pokolenia ze strony dodatniej, za to, co mówi w imieniu jego: „Jesteśmy ludzie wielkich celów, wielkich spraw, wielkich ideałów! Mamy szanse wywiązania się z wielkich, oczekujących nas zadań. Musimy cywilizację naszą dźwignąć na najwyższe wyżyny. Musimy się stać organizmem tak tęgim, by wszelki niepokój co do przyszłości naszej najzupełniej utracił uzasadnienie“.

Czujemy, czytając te słowa, że w nich jest prawda, że uderza w nas fala przyszłości, która z tem pokoleniem nadchodzi. Jego wiara jest starszych pokoleń nadzieją.

Z. W.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wrześniowy zeszyt „Awangardy“, miesięcznika Młodych Obozu Wielkiej Polski, świadczy, że pismo to rozwija się coraz lepiej, stając się odzwierciadleniem prądów ideowych wśród młodego pokolenia. Po pięknym wierszu St. Wyrzykowskiego p. t. „Herb“ następuje pełen ważkich myśli artykuł „O przyszłość naszej twórczości duchowej“ (pseud. Iwo). Autor artykułu p. t. „Nowe czy stare Niemcy“ Z. Ł. dochodzi do wniosku, że polityka niemieckich ugrupowań „republikańskich“ jest dla nas znacznie niebezpieczniejsza, niż polityka nacjonalistów niemieckich, nie grzesząca zręcznością. Bardzo interesujący jest artykuł p. Ojetti'ego, wybitnego publicysty włoskiego, na temat udziału młodego pokolenia w budowaniu nowych Włoch. Uwagi te, które ukazały się na łamach „*Revue des Deux Mondes*“, „Awangarda“ przytacza w bardzo obszernem streszczeniu.

Dr. Marjan Chełmikowski omawia problem skupienia robotników w szeregach narodowych, a p. Jan Korolec zajmuje się podstawami narodowego programu reformy rolnej. Ciekawe są przytoczone dalej dane, dotyczące ubytku ludności w krajach europejskich.

Następują rubryki stałe, a w nich bogata kronika Ruchu Młodych i życia młodzieży wogóle. Prenumerata „Awangardy“ roczna wynosi 10 zł., półrocznie 5 zł. Dla młodzieży ceny są niższe o połowę. Konto czekowe P. K. O. Nr. 203.851. Adres „Awangardy“ Poznań, św. Marcina 65.

*

Dobrze się stało, że piękne i niezwykle głęboko ujęte przemówienie posła prof. Stefana Dąbrowskiego na akademji ku czci marszałka Focha w Kaliszu, opublikowane zostało w oddzielnej broszurze: „Marszałek Foch (człowiek i wódz)“ Kalisz, 1929. Autor, wybitny znawca zagadnień wojskowych

zwięźle i wyraziście przedstawił rolę osobistego genjuszu marszałka Focha w zwycięstwie Państw Sprzymierzonych, jak również jego wielkość duchową, jako człowieka. Niezwykła ścisłość i rzeczowość, wynikająca ze znakomitego obznajmienia autora z przedmiotem, brak zupełny tak częstej w przemówieniach obchodowych frazeologji, nadają pracy prof. Dąbrowskiego wartość trwalszą, aniżeli tylko interesującego dokumentu chwili. Wplecione zaś urywki z rozmów z marszałkiem Fochem, którego autor znał osobiście, czynią broszurę tę jeszcze ciekawszą i cenniejszą.

*

Zasłużony badacz literatury polskiej XVI i XVII w., zajmujący się głównie związkami tejże literatury z literaturą włoską, prof. Roman Pollak, wydał niedawno (nakł. księgarni św. Wojciecha w Poznaniu) stary poemat Stanisława Herakljusza Jabłonowskiego p. t. „Piram i Tisbe". Treścią tego poematu jest znany mit starożytny, zapisany w „Metamorfozach" Owidjusza i często traktowany w sztuce starożytnej (freski pompejańskie) i nowożytnej, a unieśmiertelniony wspaniałą parodją w „Śnie nocy letniej" Szekspira. U nas motyw „Pirama i Tisby" często spotyka się w dawnej literaturze, o czem przekonać się można z sumiennej pracy Skulskiego, zamieszczonej w „Pamiętniku Literackim"; rzecz jednak dziwna, że w pracy tej pominięty został milczeniem właśnie poemat Jabłonowskiego, najdłuższy a może i najbardziej wartościowy, pomimo częstych, zbyt wyraźnych reminiscencyj z „Goffreda" Tassa-Kochanowskiego, które dochodzą nawet niekiedy wprost do plagjatu poszczególnych zwrotek. Prof. Pollak, który rzecz tę znalazł w rękopisach zbiorów kórnickich, wydał ją z całym filologicznym pietyzmem i zaopatrzył wyczerpującą przedmową, oceniając estetyczne walory utworu i określając stanowisko Jabłonowskiego w literaturze polskiej. Książka, wydana b. pięknie, przynosi zaszczyt księgarni św. Wojciecha, która ją wydała dla uczczenia zjazdu bibljotekarzy w Poznaniu.

*

Mamy do zanotowania trzy cenne publikacje z zakresu bibljografji polskiej. Pierwszą z nich jest „Wykaz druków nieperjodycznych" za pierwszy kwartał 1928 r., opracowany przez Stefana Dembego, naczelnika wydziału bibljotek w Min. Wyzn. Rel. i Oświaty. Wykaz ten stanowi grubą księgę, zwłaszcza że każda pozycja omówiona jest pod względem bibljograficznym szczegółowo; do rozmiarów książki przyczynia się tym razem i to, że w pierwszym kwartale 1928 odbywały się wybory do Sejmu i Senatu i pojawiło się mnóstwo broszurek i ulotek okolicznościowych, które też trzeba było notować, ponieważ zaś wiele tych ulotek było bez tytułu, więc trzeba było dla odróżnienia cytować ich pierwsze i ostatnie wyrazy. Drugą publikacją jest opracowana przez niestrudzonego prof. Hahna *„Bibliographia philologiae classicae et humanisticae Polonorum a. 1911 — 1925"* (nakł. Pol. Tow. Filol. we Lwowie), obejmująca 2300 pozycyj, dotyczących filologji klasycznej w Polsce oraz badań nad polską literaturą humanistyczną za 15-letni okres, w którym są i ciężkie, tak dla nauki niepomyślne lata wojny; cyfra to zatem pokaźna (zwłaszcza że recenzje o książkach, acz wymienione, nie są liczone jako osobne pozycje) i świadczy chlubnie o rozwoju polskiej humanistyki. Trzecią publikacją jest bibljografja literatury polskiej za r. 1928, ogłoszona przez Piotra Grzegorczyka, sekretarza redakcji „Ruchu Literackiego" i kierownika działu bibljograficznego w tem piśmie. Publikacja ta, ułożona w sposób racjonalny, zawierająca prócz tytułów książek także i główne informacje o ich treści, bardzo jest potrzebna, można rzec nawet niezbędna dla polonistów.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Przewrót rewolucyjny w Rosji odbił sie głośnem echem w literaturze zwłaszcza francuskiej .Mamy też cały szereg powieści, których Rosjanie sa bohaterami. Wschód pozostanie bowiem dla Zachodu owiany zawsze mgłą tajemnicy, gdyż niezrozumiałą jest dla niego psychologja rosyjskiego fatalizmu i braku reagowania na wypadki. Trwanie bolszewizmu jest zresztą tego najwymowniejszym dowodem. To przeciwieństwo tragiczne niemal Wschodu i Zachodu znajdujemy właśnie w ostatniej książce p. Pierre Fervacque p.t. *„La Vie orgueilleuse de Trotski"* (Fasquelle edit). Autor w sposób niezwykle silny kreśli obrazy sowietyzmu. Są zaś one niemniej dramatyczne w innej znowuż pracy, a mianowicie w *„Dieu chez les Soviets"* (Flammario edit.), której autorem jest znany historyk p. Georges Goyau. W tym całym kataklizmie Rosji, walka sowietów przeciwko religji stanowi niezawodnie jeden z jej momentów najbardziej patetycznych, który w sposób niezmiernie głęboki przedstawia nam p. Goyau. Autor bowiem bez zbytecznego patosu, ale przeciwnie opierając się przedewszystkiem na faktach, odtwarza kolejne etapy dzieła bolszewickiej destrukcji, nędzy w jakiej żyją księża, martyrologji wreszcie licznych z pomiędzy nich. Destrukcja zaś ta nie jest bynajmniej wynikiem jakichś chwil tylko opętania rewolucyjnemi instynktami, ale przeciwnie jest ona systematyczna, gdyż już sam testament Lenina zawiera „ukaz" poniekąd do zabicia, do wykorzenienia z serc i umysłów wszelkich porywów religijnych. Walka zaś ta, prowadzona przeciwko kościołowi, ma oczywiście na celu oderwanie ludu od wiary i Boga, aby następnie tem łatwiej go zdemoralizować i bezbronnego już rzucić na łup „czerwonej ewangelji".

*

Pio Baroja, powieściopisarz hiszpański, którego styl barwny i życiowy zdobył mu licznych czytelników, ogłosił tom *„La senda Doloresa"* (Bolesna ścieżyna), stanowiący dalszy ciąg ogłoszonych już dawniej w cyklu *„Memorjas de un hombre de acción"* (Pamiętniki człowieka czynu). Sposób patrzenia autora na świat jest może nieco dziwny, jednakże bardzo ciekawy. Jako doskonały psycholog i zdolny artysta, stwarza charaktery i obrazy żyjące własnem życiem, które choć odrębne od życia realnego, jest niemniej potężne.

OFENSYWA

PLUPARCH „NASZYCH CZASÓW"

NA tegorocznym jesiennym turnieju kolosalnych miernot w Genewie dużą rolę grał też niejaki Emil Ludwik Cohn, nadreporter psychologiczny, najmodniejszy dziś as Shylockracji, *champion* monografomanji. Obok niego drugie skrzypce miał w ręku także gość S. D. N., André Maurois, dla odmiany żyd alzacki, równie światowy i arogancki. Z literatów z monoklami byli: liryk i kombinator P. Valery, czeski krytyk Jellinek, Galsworthy, wszyscy pracujący w jakiejś sekcji Międzynarodowej Współpracy Kulturalnej (?). Jak zawsze podczas tych zlotów swoje salony polityczne rozwarły szeroko *miss* Mac Cormick na zamku Prangius i rywalizująca z nią żydóweczka wiedeńska Ida Roland, zamężna Coudenhove—Calergis, w apartamentach hotelu Beau-Rivage. Z zawodowych piękności szastały się jak zwykle po salach „Reformacji": cudowna greczynka pani Agnides, włoska księżna Giustiniani Biandini, lady Rachel Crowdy of Grace i kilkanaście czy kilkadziesiąt Semitek pomężonych z dyplomatami, politykami, dziennikarzami, reporterami i innem ptactwem niebiańskiem... znane już i z komedji niedokończonej *„Précieuses de Genève"*. „Kokeluszem" tego *Assemblé*'u, *„der Hahn im Korbe"* był berliński spryciarz i reklamiarz Emil Ludwig Cohn. Podobno wyrywano go sobie formalnie z rąk i... z nóg. Wszystkie snobki dyplomatyczne chciały go mieć u siebie, przy sobie, koło siebie i t. p. Raut szedł po raucie, recepcja po recepcji, bankiet po bankiecie a „Emil Ludwig" królował i czarował niczem nasz Aszkenazy w dawnych, dobrych latach. *Judaeus laureatus* interesował się też przytem wszystkiemi poważnemi „problemami" aktualnemi Ligi, szczególnie handlem opium i walką z wywozem dziewczyn do Argentyny, konferował i z Chińczykami, i z Urugwajczykami, z Kalergim i z Briandem, a z „naszych" z p. Oryngiem („Epoka") i Bregmanem („Epoka") i z księżniczką Radziwiłłówną, zaciętą Litwinką i dr. Rajchmanem zagorzałym „hygienistą narodów". Wogóle był *„star"*, był gwiazdą tegorocznego festiwalu, przy której zbladł nawet p. Ehrenberg de Friesethal... mentor posażnego jedynaka.

To już, że tego rodzaju Brandeschen, tego rodzaju eklektyk - kalkulator, zbieracz śmietanki, fejletonowy Carlyle, portrecista *à la minute*, Lukjan z Samosaty w masce Plutarcha mógł stać się pierwszą primadonną operetki genewskiej, to już wskazuje dosadnie o składzie etniczno-chemicznym tej zganianiny wielkości (kieszonkowego formatu). Areopag mężów stanu, w którym poważnie są traktowani: *gigierl* Coudenhove i *szmok* Emil Ludwig wykazuje już czarno na białem, że wchodzimy w erę cywilizacyjną szarych, karłowatych myrmidonów pigmejów, nad którymi górują tylko czaszki sprytnych, światowładczych Hebrejów. Jednym z najchytrzejszych jest berliński *„der kleine Cohn"* Emil Ludwig.

Należy raz po razu ostrzegać przed importem fabrykatów tego cynicznego truciciela, dziś najbardziej narzucanego Europie apostoła *Mitteleuropy* i agenta pansemityzmu. Jest niebezpieczny przez płytkość a więc i przystępność swych elukubratów, infekowanych na każdej stronie. Jego „Lipiec r. 1914"—to szachrajstwo historyczne w każdym calu, lakierowane eleganckim objektywizmem i pozorną sumiennością. Paser, sprzedający przechowywane na składzie cudze myśli w pansemickiem opakowaniu. Ostrzegać należy tembardziej, że u nas jakichś trzydziestu piszących Semitów spiknęło się i sprzysiężyło, aby go narzucić polskiej inteligencji, aby każda rzecz jego była tłumaczona i rozpowszechniona.

Czas już nadto, żeby szybko przetłumaczono na polski znakomitego pisarza francuskiego Camila Mauclaira książkę pt. *„La force de l'art vivant"*. Sądząc z recenzji o tem dziele, świetny krytyk alarmuje aryjską Europę o olbrzymiem niebezpieczeństwie żydowskiego intelektualizmu, który jest niczem innem, jak tylko przednią strażą szykującej się politycznej *Mitteleuropy*. Żargonauci idą!

Wytworny, szykowny, fajny „Emil Ludwig", to też tylko forpoczta, awangarda intelektualna Zjednoczonych Stanów mitteleuropejskich. W książkach takich jak on pisarzy trzeba więcej czytać to, co jest między wierszami, trzeba je czytać „pod światło".

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Genjalny kpiarz, Bernard Shaw, udzielił ostatnio kapitalnego wywiadu londyńskiemu korespondentowi Polskiej Agencji Telegraficznej, p. Sobieniowskiemu. Twórca znakomitego „Wielkiego Kramu“ oświadczył między innemi, że naczelną postać tej komedji, mianowicie króla Magnusa, „zamierzał pierwotnie oprzeć... na osobie Marszałka Piłsudskiego, którego sposób działania dowodzi jego wielkiej umiejętności opanowywania sytuacyj politycznych“...

Wszyscy, którzy znają „Wielki Kram“, pamiętają świetnie, że jedyną metodą działania króla Magnusa jest najściślejsze trzymanie się przepisów Konstytucji oraz niezmierna, do najdalszych granic posunięta wytworność w zachowaniu się i wysłowieniu, onieśmielająca jego dość nieokrzesanych przeciwników. Jak podaje depesza P. A. T. — „żegnając się z korespondentem, Shaw zaznaczył jeszcze, że stale śledzi wypadki w Polsce, które go bardzo interesują. Właśnie poprzedniego dnia przeczytał ostatni artykuł Marszałka Piłsudskiego, który, podobnie jak „Dno oka“, p. Sobieniowski dosłownie dla niego przetłumaczył“.

*

Dn. 30 z. m. p. prezes Rady Ministrów dokonał uroczystego aktu zamknięcia Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu. Przez cały czas trwania Wystawy, była ona zwiedzana przez olbrzymie rzesze, rekrutujące się ze wszystkich warstw społeczeństwa, przez członków Rządu Polskiego oraz przedstawicieli państw i narodów zagranicznych.

Z pośród polskich ministrów nie zwiedził Wystawy p. minister spraw wojskowych, Józef Piłsudski, z pośród dyplomatów zagranicznych — p. minister pełnomocny Rzeszy Niemieckiej, Ulrich von Rauscher.

*

Dzienniki powtarzają według agencji KAP sensacyjną notatkę (Przytaczamy z „Gazety Warsz.“):

„Poczytny tygodnik wiedeński „*Schönere Zukunft*“ (Nr. 51 z 22, 9. 29) w przeglądzie ze świata, w rubryce „Polska“ pisze:

„Obecny rząd Polski, która chętnie nazywa siebie krajem katolickim, składa się z 30 proc.— co jest godnem uwagi — z ministrów protestanckich. Niekatolikami, oprócz prezesa ministrów Świtalskiego, są również minister spraw wojskowych Piłsudski (który przeszedł na protestantyzm około roku 1900), minister spraw wewnętrznych, minister kolei, minister poczt, a nawet minister wyznań“.

Informacja bardzo interesująca, tylko obliczenie procentu błędne, wynosi on bowiem 43 (6:14).

*

Zeszyt wrześniowy poważnego „Przeglądu Współczesnego“ poświęcony jest w połowie uczczeniu „Ligi Narodów“. Zajął się nią nawet redaktor „Przeglądu“, wybitny romanista, prof. St. Wędkiewicz. Jako romanista, szan. profesor mniej się, widocznie, orjentuje w stosunkach Wschodu, jego rasach oraz kulturze, wszystkich bowiem żydów, których przewaga w sekretarjacie Ligi i polskiej „*Délégation permanente*“, nic mu nie mówi—zalicza do Polaków. A jest tego rodzaju „Polaków“ nie mało: Dr. L. Rajchman, Dr, Ig. Wasserberg, p. St. Neyman, p. Marja Ginsburg, p. G. Frumkin, pani L. Hersch, nie mówiąc już o p. ministrze Sokalu i jego pomocniku p. T. Gwiazdowskim (Grosstern). Wśród tego hufca palestyńskiego, który, podług p. Wędkiewicza, „zarówno jest oddany idei Paktu, jak i rozumnym interesom Polski“, znalazło się parę nazwisk niepodejrzanie polskich. O nich jednak nie powiada p. profesor Wędkiewicz, czy są oddani „rozumnym“ interesom Polski.

*

W połowie września r.b. w Rumunji odbył się trzeci międzynarodowy kongres krytyków dramatycznych i muzycznych Polskę reprezentowali trzej żydzi: „Napoleon“ (Nuchim?) Hirszband pod pseudonimem "Cezary Jellenta", „Stanisław“ (Szloma?-Zmigryder — bez pseudonimu, oraz p. M. Hercenstein pod pseudonimem „Mateusz Gliński“. Dwaj pierwsi w charakterze oficjalnych przedstawicieli warszawskiego Związku Krytyków Muzycznych.

Jak widzimy, naród polski — oniemiony na kongresach w dziedzinie polityki, literatury, sztuk plastycznych, nauki i działalności społecznej — oniemiał również na polu muzyki i krytyki dramatycznej. Polskę reprezentują jej pachciarze.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 2545. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 1290.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P.K.O. **3.105**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM